Nr. 10. Lwów, Niedziela dnia 4. Listopada 1877 r. **Tom VI.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 4 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

O METODZIE PRACY NAD LUDEM.

I.

Niezliczona mnogość drukowanych i deklamowanych rozpraw o potrzebie pracy nad ludem osiągnęła ten skutek, że u nas teraz istotnie potrzeba być w obawie, czy będzie kto czytał artykuł, którego nadpis zdradzi, iż ma być w nim mowa o sprawach ludowych. A przecież, jeżeli obliczymy się z tem, kto zjednał sobie najskuteczniej zaufanie ludu, musimy spostrzedz, że uwija się na tem polu mnóstwo niepowołanych pracowników, których wichrzenia mogą w danym razie wielkiem niebezpieczeństwem zagrażać spokojowi społecznemu w naszym kraju, i na każdy sposób znacznie opóźniają rozwój cywilizacyjny ludności tej prowincyi, gdy element narodowy bardzo mało czyni usiłowań, ażeby otwartych wrogów swoich nie dopuścić do opanowania tego terenu.

Lud jest teraz w ogólności więcej usposobiony do przyjmowania wiadomości z szerszego świata, niż obejmują granice jego zagrody. Ustawy konstytucyjne powołują go do wykonywania rozmaitych obowiązków obywatelskich, gdzie zasiada na jednych ławach, jak równy z równym, z dawnymi panami swoimi i przewodnikami duchownymi. Widzi on przy każdych wyborach, jak żywo dobijają się rozmaite stronnictwa o jego przychylność — więc zaczyna poczuwać swoję siłę. Mamy zresztą około 3.000 szkół ludowych, do których uczęszcza przeszło ćwierć miliona młodzieży obojej płci, więc chociażbyśmy nawet najgorsze mieli wyobrażenie o skuteczności szkół ludowych w tym stanie, w jakim się większość ich dotychczas znajduje, musimy przyznać, że bądź co bądź przyczyniają się one do pomnożenia liczby umiejących czytać i chętnych do czytania. Rozdrobienie gruntów i wzmagające się ich obdłużenie zniewala także lud do zastanawiania się nad przyszłością. Te wszystkie wymienione tu okoliczności sprawiają, że wszelka propaganda — dobra czy zła, o wiele łatwiej czepia się teraz umysłów ludu, niż to dawniej bywało. Gdy zaś dawniej biurokracya austryacka przez długie lata systematycznie poduszczała lud przeciwko klasom oświeceńszym, gdy ułożony w agitacyjnych widokach sposób przeprowadzenia wykupna serwitutów rozciągnął spory pomiędzy dawnymi panami a poddanymi niemal na trzydzieści lat (bo dotychczas nie są one zupełnie pokończone), gdy dalej we wschodniej części kraju ze względów politycznych dwa najpotężniejsze czynniki cywilizacyjne na wsi: dwór i plebania, podkopywały swój wpływ u ludu, zamiast wspierać się nawzajem, i gdy wreszcie w ostatnich czasach zaczęli się uwijać po wsiach i miasteczkach pod rozmaitemi postaciami agitatorowie, którzy częstokroć najniebezpieczniejsze poglądy rozsiewają w umysły ludu — to każdy pojmie, że nie dla utopii, ale z *realnej konieczności* wypada nam teraz starać się o to z wytężeniem wszystkich sił, ażeby nie wypuścić z rąk naszych wpływu na masy ludowe, nie dozwolić, iżby opanowywały ten dział pracy organicznej wręcz szkodliwe dla najżywotniejszych narodowych i społecznych interesów naszych wpływy.

Rozprawy na temat potrzeby szerzenia oświaty pomiędzy ludem z tego powodu utraciły popularność, że jakkolwiek rzecz, o którą walczą, jest sama przez się słuszną i rozumną, to często się zdarza, iż zawarte w nich wskazówki nie odpowiadają rzeczywistym usposobieniom ludu, i dlatego praktycznej wartości nie mają. Nie pozostały one wprawdzie zupełnie bez skutku, ponieważ przyczyniły się bez wątpienia do przyspieszenia pomyślnego rozwiązania kwestyi szkół ludowych. Tak często doradzane zakładanie biblioteczek i czytelni ludowych nie uczyniło jednak dotychczas świetnych postępów; wydawnictwa ludowe polskie także chromieją u nas, i na tem polu prześcignęła nas tu we wschodniej Galicyi o wiele świętojurska agitacya, która wielką masę pism ruskich, często z niebezpieczną tendencyą prawosławną i socyalistyczną, pomiędzy ludem rozpowszechnia.

Praca nad uobywateleniem ludu obejmuje jednakże bez porównania większy obszar, niż propaganda drukowana ogarnąć może. Szkoły i pisma popularne stanowią bez wątpienia ważny, lecz nie jedyny czynnik na tem polu pracy cywilizacyjnej. Obok tego istnieją bowiem jeszcze przeróżne administracyjne i ekonomiczne środki, częstokroć nader skuteczne, które posłużyć mogą do podniesienia poziomu inteligencyi w masach ludowych, i zbliżyć je do oświeconego obywatelstwa. Od nas samych to zależy, czy zechcemy zużytkować te potężne środki, czy też pozostawimy je także komu innemu —komuś, kto będzie miał sobie za najświętszy obowiązek obrócić je na szkodę naszą...

W następnym artykule wymienimy wszystkie zadania, mieszczące się w należycie zrozumianem pojęciu pracy nad uobywateleniem ludu.

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Czekano przesilenia, które przyjść miało nazajutrz lub później może. Ale tego dnia gorączka niesłychanie się wzmogła, chwile jasne znikły, chory byt całkowicie nieprzytomny. Włoch nie krył się z tem wcale, iż nadzwyczaj małą miał nadzieję ocalenia pana Spytka...

Przebieg tej nagłej słabości był zwykły wszystkim gorączkom tego rodzaju. Kryzys nie przyniosła ulgi, a raczej przekonała, że chory sił do nowego życia już nie ma.

Następnych dni dogorywał tylko... wszelkie złudzenia trzeba było utracić. Szczęściem odzyskiwał przytomność, ale w chwilach takiego zwrotu tylu myślami się męczył, tylu obowiązkom chciał zadość uczynić, iż wysiłek zupełne wyczerpanie przyspieszał...

Dopełniwszy powinności chrześcianina uroczyście, wedle dawnego obyczaju, wobec

całego dworu, gdyż chwila ostatniego pomazania łączyła się zawsze u nas z pożegnaniem rodziny, sług i wszystkich ziemskich przyjaciół — Spytek, jakby nieco uspokojony, usnął.

Była późna noc gdy się przebudził... Otworzywszy oczy, ujrzał nieruchomą jak posąg żonę, która od początku choroby, nic prawie w usta nie biorąc, nie opuszczała na chwilę nieszczęśliwego... Siedziała patrząc nań, bez łzy, bez wzruszenia pozornego, ale nie opuszczając stanowiska. W drugim pokoju modlił się kapelan, w dalszych siedzieli Eugenek z ks. de Bury, bo sobie wyprosił, żeby mu czuwać dozwolono... Dalej jeszcze starzy słudzy, oficyaliści, wysłużeni gracyaliści, dwór niemal cały modlił się i płakał.

Od pierwszej chwili, gdy zachorzał Spytek, zamkową kaplicę otwarto, wystawiono P. Sakrament i nieustannie w niej na intencyą chorego odprawiały się modły.

Wśród ciszy i ciemności ten oświecony kościółek zdawał się już przygotowywać do pogrzebu. Pomiędzy ludźmi było przeczucie śmierci, tysiące oznak złowrogich... coś, co mówiło, że Spytek z tej choroby nie powstanie...

Przebudzony, zwrócił oczy na Brygitę i cichym głosem ją przywołał.

— Żegnam cię — rzekł — niech ci Bóg wynagrodzi ofiary twe... On je tylko i ja widzieliśmy... Tam ci one policzone zostaną... Ostatnia wola moja i rozporządzenie... znajdzie się w papierach, Jeśli się nie znajdzie, po co tam wola człowieka próżna, gdzie Boża wszystkiem rozrządza?... Stanie się, co się stać było powinno — musiało. Próżnobym zalecał, zaklinał i chciał się przeznaczeniu wyłamać... Stanie się, — powtórzył, — co się stać było powinno. Niech syn przyjdzie .. czuję, że nie dożyję rana.

Spytkowa poszła i przywiodła Eugenka, który przez te dni choroby ojca bardzo spoważniał i posmutniał; na twarzyczce jego znać było ślady łez i znękania...

Ojciec spojrzał na klęczącego i położył mu rękę na głowie.

— Dziecko moje, pocóż mam w młodą twą duszę wlewać jad i ból tych zwątpień, które moję strawiły. Niech Bóg odwróci kielich goryczy od ciebie, niech ci oszczędzi nieszczęść, niech błogosławi...

Tu mu głosu zabrakło.

Odwrócił się i podał rękę żonie, która ją w milczeniu ucałowała...

— Zniosłaś twe brzemię cierpliwie — rzekł — dzięki ci za to... Czułem, żeś je dźwigała, aleś mi to kryła... Zostaje ci wielki obowiązek... to dziecię! a w tem dziecięciu skupia się przeszłość kilko-wiekowa rodziny... jej zasługi i jej grzechy... jej posłannictwo i pokuta...

Głos powtórnie słabnąć począł i mowa stała się niewyraźną... Ręką jeszcze dotknął główki pochylonej Eugenka i westchnął... a w westchnieniu tem ducha oddał...

I długie milczenie panowało w komnacie, nim się rozległy ostatnie płacze i ostatnie modlitwy. Ze wschodów zamkowych w dziedzińce zbiegła wieść, która z ust do ust poleciała po sąsiedztwie: pan umarł! pan umarł!...

Mamyż opisywać wspaniały pogrzeb, na który z dalekich stron powinowaci, krewni, ciekawi, niezmiernie liczne duchowieństwo i szlachta tłumami się zjechała? W istocie ciekawym był może ten obrzęd, z całym tradycyjnym przepychem dawnych wieków odprawiony, na którym dwudziestu panegirystów przemawiało u grobu, a katafalk był arcydziełem misternej architektury ornamentacyjnej... Sto kilkadziesiąt tysięcy złotych wydano na opędzenie kosztów nabożeństw, które trwały kilka tygodni.

Wszystko, co tylko kiedykolwiek w obyczaju było czynić dla uczczenia zmarłego, zrobiono jak najściślej; żądała tego pani Spytkowa, zapewne przewidując wolę nieboszczyka, lub raczej stosując się do jego zasad, objawianych w innych życia wypadkach.

Zaraz po tym nużącym obrzędzie, wezwani powinowaci do przejrzenia papierów Spytka, znaleźli w nich jego testament.

Datowany on był wieczorem tego dnia, gdy syn przyjechał do Mielsztyniec i napisany jakby pod wrażeniem obawy śmierci i przymusowego pospiechu. Obok leżała koperta, rozdarta świeżo, która jak się zdawało, dawniejszy, przy pisaniu nowego zniszczony testament zawierać musiała. Ale z tamtego popiół tylko w kominie pozostał.

Ostatnia wola była krótko nader wyrażona. Spytek żonie polecał opiekę nad synem i zarząd dóbr całych, dozwalając jej sobie wybrać dwóch współopiekunów. Na majątku miała ona dawniej zapewnione bardzo znaczne wiano, a oprócz niego dożywocie na połowie dóbr wszystkich. Kodycyl do testamentu wzmiankował, że gdy Eugeniusz dojdzie do pełnoletności, wręczoną mu zostanie rada ostatnia i błogosławieństwo ojca, powierzone osobie zaufanej, która wymienioną nie została.

Zmienił się więc los Mielsztyniec i zamiary względem Eugenka przez ten wypadek. Matka od siebie dziecka oddalić nie chciała; zostawiono przy nim do czasu ks. de Bury. Przewidzieć było łatwo, że choć wdowa z początku najmniejszej zmiany w trybie życia raz zaprowadzonym dopuścić nie chciała, choć zachowała sługi, godziny, obyczaj, szanując oddawna tu utrzymujący się porządek, nie mogło to trwać długo.

Pomiędzy nieboszczykiem a żoną, acz najprzykładniejsza panowała zgoda, nikt a nikt nie dostrzegł tej harmonii serdecznej, dobrowolnej, która się rodzi ze zgodności przekonań i charakterów. Było coś wytężonego, przymusowego w tem szczęściu pozornem; czuć było z jednej strony uczynioną i dotrzymaną, ale ciężką ofiarę. Miała się li ona aż za grób przeciągnąć?

Pani Spytkowa liczyła wprawdzie lat trzydzieści kilka, ale wyglądała młodo, bo duszy jej nawet ta walka lat kilkunastu nie zużyła i nie złamała. Zachowała się całą, z sercem młodem, z głową może pełną marzeń; tak przynajmniej czarne, ogniste jej oczy mówić się zdawały.

Było coś strasznego, ale uroczo pociągającego w tej kobiecie, milczącej, zadumanej, poważnej, tajemnicą okrytej i tak władającej sobą, że najsilniejsze uczucie drgnienia z niej nie wywołało.

Słudzy, szanując ją, lękali się jej więcej daleko niż samego pana, a niektórzy przewidywali, że pod jej panowaniem Mielsztyńce nie mogą już pozostać tą pustką klasztorną, jaką były. Ale nikt się nie ważył ani o tem przebąknąć; myślano i czekano.

W parę miesięcy ks. de Bury wyjechał do Francyi z powrotem, a do Eugenka przywieziono z Warszawy młodego człowieka, Polaka, który się wychowywał za granicą. Był to młodzieniec wielkich nadziei i świetnych talentów, pan Tadeusz Zaranek, protestant. Pani Spytkowa, mając go sobie poleconym jak najkorzystniej, nie dowiadywała się nawet o wyznanie; dopiero w Mielsztyńcach okazało, się, że był uczniem genewskiego mistrza i gorliwym zwolennikiem Kalwina. Zgorszono się niepomału, iż pomimo to Zaranek został przy uczniu. Prawda, iż z tą swą wiarą bardzo się wstrzemięźliwie zachowywał i nawracać na nią nikogo nie myślał.

Eugeniusz potrzebował towarzystwa; ku końcowi więc żałoby, powoli, nieznacznie, dom się otwierać, ożywiać zaczął. Matka nic przeciw temu nie miała. Zmiana więc, choć przychodziła nieznacznie i stopniowo, dawała się już czuć w domu, a po pierwszych do niej krokach wiele wróżyć było można. To też wróżono.

Nie skończyła się jeszcze żałoba uroczysta, rok i sześć niedziel trwająca, gdy niecierpliwie pono obrachowujący jej trwanie kasztelanic Iwo, który czatował na to, aby się dostać do Mielsztyniec... schwytawszy na przejażdżce Eugenka, poznawszy się z nim i przypodobawszy młodemu chłopakowi, utorował sobie drogę do nieprzystępnych dotąd dlań progów zamku.

Kasztelanic, jakeśmy mówili, był jednym z tych ludzi, którzy mimo zaniedbania się, puszczenia cugli i rozpasania, umieją gdy potrzeba najróżniejsze przybierać fizyognomie. Dla Eugenka stał się powagą, tak umiał go oczarować.

Chłopak, którego matka dosyć pieściła, wpadł jednego dnia do niej, oznajmując, że kasztelanica Jaksę na wieczór zaprosił.

Porwała się na to jak raniona pociskiem pani Spytkowa, i z oczów jej trysła błyskawica. Pierwszy raz zgromiła syna, że śmiał to uczynić bez jej wiedzy, naganiła natychmiast panu Zarankowi, że na to pozwolił, ale koniec końcem zgodziła się, by kasztelanic został przyjętym, oznajmując tylko, że do niego nie wyjdzie i widzieć go nie będzie.

Wytłumaczyła to przed synem tem, że towarzystwo tego człowieka znajduje dlań niestosownem, że między rodzicami była jakaś dawna nieprzyjaźń...

Eugeniusz zamyślił się, posmutniał... ale ani śmiał prosić matki, aby dla niego zmieniła postanowienie.

Rozkazano wszakże, aby przyjęcie było jak najwspanialsze i wyznaczono na nie paradne zamku pokoje, te właśnie, przez które widzieliśmy przechodzącego pana Nikodema Repeszkę.

Pan Zaranek miał sam tylko pomagać

Eugenkowi w zabawianiu gościa. Niewiadomo nam, jak do tego doszedł, mimo swojego ubóstwa kasztelanic, że na oznaczony czas stawił się przed zamkiem nie opuszczony i zaniedbany jak zwykle, ale ubrany wykwintnie, na koniu bardzo ładnym i z masztalerzem, który zastępował nakuliwającego Zacharyasza. Obejście jego zastosowywało się do stroju; było łagodne, grzeczne i pełne uprzejmości. Eugenek, który z niecierpliwością młodego wieku oczekiwał na niego w ganku i zaraz mu oznajmił, iż matka jego jest chora, nie dostrzegł najmniejszej chmurki na jego czole. Kasztelanic skłonił się, zagadał o czemś innem i wszedł na pokoje śmiało.

Tu jednak niepodobna mu było pokryć wrażenia, jakie na nim ów zamek, tak pański, tylu pamiątkami ozdobiony, taki dostatek stary znamionujący uczynił. Skrzywiły się jego usta uśmiechem ironicznym, który przez nie przeleciał i zniknął, ale oczy mimowolnie zdradzały ciekawość i zdziwienie, prawie gniew jakiś wewnętrzny.

Tak przeszli aż do okrągłej sali, z której widać było przez otwarte drzwi stojącą w hełmie na zbroi rycerskiej owę trupią głowę (dziwne o niej chodziły podania)... Iwo stanął, długo się wpatrywał, pochmurniał i rzekł:

— Wszak i to pamiątka familijna. Myśl prawdziwie oryginalna... Cóż to ma oznaczać?

— Ja nie wiem — rzekł szybko Eugenek. — Mówią, że to proste przypomnienie śmierci... ale... mnie ludzie jakąś historyą opowiadali, zwyczajnie baśń kobiecą, że to ma być głowa ściętego przez miecznika nieprzyjaciela naszej rodziny.

Kasztelanic szybko się odwrócił i więcej już nie pytał.. ale brew mu się zmarszczyła.

— Pan widzi, oto ten — dodał wskazując Eugenek... — to jest miecznik, nie wiem czemu go tak nazwano. Miał być bardzo srogim człowiekiem... A ta oto panna babunia, co ma tę dziwną krwawą przepaskę na szyi, z którą się urodziła... to jest córka miecznika... (C. d. n.)

NA RZECE PUERKO,

WSPOMNIENIE Z KALIFORNII

przez

KALIKSTA WOLSKIEGO.

Trzecia godzina rano. Noc okropnie ciemna. Na horyzoncie nic nie dojrzeć... nic oprócz niewielkiego światełka, pochodzącego z obracającej się monotonnie latarni morskiej, co z dala zaledwie błyszczy. Milcząca rzeka *Puerco* cicho płynie ku zatoce San Francisko, tylko od czasu do czasu dają się słyszeć w oddaleniu dziko żałośne wycia zgłodniałych koyotów*), które się uganiają za zdobyczą... W około ponura cisza.

Po niejakiej dopiero chwili od strony wschodu zabłysły dwa słupy ogniste, które jakoby posuwały się z pewnym pospiechem. Zdaje się, że się ubiegają o pierwszeństwo, bo to jeden, to drugi na przemiany wyprzedzają się; to znowu w równej są linii, i znowu wkrótce jeden jest na przodzie, drugi pozostaje w tyle... ale nie na długo, bo jakby po odpoczęciu zaczerpnąwszy nowych sił, raptem przyspiesza chodu i prześciga swego współzawodnika. Jakiś szmer nieokreślony towarzyszy temu widowisku, a koyoty nim przestraszone uciekają od brzegów rzeki i uchodzą w dalekie lasy.

Dwa lub trzy razy już na wierzchu jednego z owych słupów ukazał się płomień, rozpraszający iskry w kształcie snopka, niby jakiś fajerwerk, poczem wybucha gęsty i czarny dym.

Cóż to za dziwaczne widowisko?... Pomimo woli przychodzi na myśl naród Boski zbłąkany w pustyni. Lecz czasy cudów przeminęły! Jakież są więc te ogniska żarzące, które jakby ogromne jakieś ptaki morskie posuwają się szybko po wodzie?... Czy to może owe stare okręta napełnione materyałami palnymi, przeznaczone do zniszczenia statków nieprzyjacielskich?... Czy jakie piekielne maszyny?... Czy też to wszystko jest tylko snem? widziadłem?

O nie!... Dwa słupy ogniste koloru czerwono-fioletowego zbliżają się wyraźnie. Około tych poczwar nieznanych poruszają się jakieś istoty w gorączce, oświecone owemi dzikiemi i krwawemi ogniami, które tak wielką sprzeczność tworzą z ponurą, bezgwieździstą nocą.

Trzebaby istotnie nie być zupełnie obojętnym na wszystko, ażeby nie uczuć przestrachu na widok tych nocnych podróżników.

Szmer dotąd dający się słyszeć, przemienił się w głośną rozmowę, i ta już jest troszkę zrozumiałą... Za chwilę będzie to wrzask, hałas, szaleństwo, kłótnia. Zaprawdę dziwno straszliwem jest to wszystko. Dwa walce z czarnej blachy rozpalone aż do białej czerwoności, które posuwają się, są to kominy maszyn parowych, dwóch statków idących na wyścigi. Ci co u podnóża kominów poruszają się, kręcą, grożą sobie, wrzeszczą, to Gambuzincsy*) powracający z Kopalni Mukalume.

— Hura Oregon!**)

— Hura Nebraska!**)

Tylko te dwa wykrzykniki można dosłyszeć w gwarnym tłumie, kręcącym się po pokładach. Łatwo zrozumieć, że i na jednym i na drugim statku, co tylko żyje, co może wrzeszczeć, doszło do ostatnich granic szaleństwa. Za kilka minut może jeden z nich, a nawet może obydwa swych podróżnych i swe załogi okrętowe wysadzą w powietrze. Któż mógłby odgadnąć, czy za chwilę rzeka nie będzie niosła w swych nurtach, pięciuset lub więcej trupów ku zatoce morskiej.

Widowisko to sprawia stojącemu na brzegu rzeki jakieś przerażające wrażenie. Może z podobnych widowisk powstały i przechowały się z pokolenia do pokolenia owe legendy, owe bajki o smokach skrzydlatych, o poczwarach, z których paszczy buchał ogień.

Lecz zacznijmy od początku. Zdarzenie jakie chcemy opowiedzieć, warte jest tego, ażeby było szczegółowo opisanem.

* * *

San-Francisco było szczególnie oryginalnem miastem w 1853 r. Przeszło sześćdziesięciotysięczna ludność przyciągnięta tam gorączką złota, tworzyła Rzeczpospolitą, w której siła fizyczna miała najczęściej racyę i służyła za prawo.

Jak Rzym, gdy ongi się zakładał i budował, (a porównanie to zdaje się być stosownem pod bardzo wielu względami), tak nowa siedziba Kalifornijczyków była pełną błota pomiędzy drewnianymi domami. I równie jak w mieście Romulusa, tak i w San-Francisco brakowało kobiet. W owem bowiem mrowisku przybyszów z rozmaitych stron świata, znajdowało się zaledwie *trzysta* okazów płci słabszej, pospolicie zwanej piękniejszą. Tutaj jednak nie potrzeba było posuwać się do gwałtu, porywania Sabinek. Same one chętnie przybywały, i w niedługim już czasie równowaga płci obojga nastała.

Był tam podówczas niejaki Alfred Parot, który pozostawił w Alzacyi swoje marzenia młodości i swoje mienie w ręku żydów lichwiarzy. Czy przez ciekawość, czy też przez jakiś inny wypadek, wsiadł na statek w Hawrze i przepłynął do Kalifornii, uważany w owym czasie za ziemię obiecaną, gdzie złoto zbierało się rękami, jak kamyki w polu, lub muszle nad brzegami morza.

Czynny, inteligentny, śmiały, nie wahający się w wyborze zatrudnienia, wziął się odrazu do pracy i w przeciągu zaledwie kilku miesięcy, posiadał już złota wartości 80.000 fr.

Miał nadzieję, iż jeżeli dalej szczęście mu będzie dopisywało, wkrótce zostanie bogatym, a wówczas odzyska choć połowę illuzyi, jakie pozostawił w Alzacyi. Lecz nie ma nic stałego na tym świecie. Pewnej nocy, gdy najspokojniej marzył o używaniu swych przyszłych bogactw, przebudzony został złowrogim krzykiem:

— Ogień! Ogień!

Zadyszany tłum ludu leciał ulicą Montgommery na ratunek. Parot zeskoczył z łóżka i gdy podnosił ręce do przetarcia sobie oczów, uczuł pod nogami gorącą podłogę. Zaledwie zdążył wdziać obuwie i zabrać pod pachę ubranie, które miał blisko siebie, był już przymuszony na wpół nagi wyskoczyć oknem na ulicę. W parę minut potem i domek, w jakim dopiero błogo spoczywał i cały uzbierany skarb stał się pastwą płomieni. Gdy upadł na błotnistą ulicę i ochłonął trochę z przestrachu, olśniony został groźnowspaniałym widokiem. Nie tylko bowiem domek, w którym mieszkał, palił się, lecz całe miasto stało w płomieniach.

Gorycz i złość opanowały go, gdy się ujrzał zupełnie zrujnowanym. Przeszło pół godziny pozostał zrozpaczony w osłupieniu, z którego ocknął się dopiero, gdy jeden z przechodniów uderzywszy go familiarnie po ramieniu, przemówił następującemi słowy:

— Czy zostało ci choć trochę pieniędzy?

Alfred Parot obejrzawszy się, nic zrazu nie odpowiedział, lecz sięgnął do kieszeni kamizelki, jaką miał pod pachą i wydobywszy z niej sześć sztuk złotych po 10 dolarów każda, które tam dziwnym wypadkiem z dnia poprzedniego pozostały, pokazał cały swój teraźniejszy majątek pytającemu.

— Ja mam mniej więcej takąż samę kwotę — rzekł tenże. — Jest to więcej niż potrzeba, aby żyć sześć tygodni, a przez ten czas można będzie pomyśleć, co dalej wypadnie przedsięwziąć.

Ten, co tak przemawiał do Alfreda Parot, był chudy, mizerny, miał około lat 30tu, chociaż wyglądał zaledwie na 20cia, znany od całej osady francuskiej w San-Francisco za prześladowanego ciągle przez los. Od dwunastu bowiem lat swojego tam pobytu, żadne przedsiębiorstwo, żadna

*) Gatunek psów dzikich.

*) Poszukiwacze złota.

**) Nazwiska okrętów.

praca, której się dotknął, nie udawały mu się wcale.

Stefan Godel był wybladły, wrażliwy, nie śmiały, nerwowy i bojaźliwy. W każdej okoliczności, pierwsze jego wrażenie było: bojaźń i tchórzostwo. Bał on się wszystkiego: wody, ognia, strzelby, noża, odosobnienia, tłumu, ludzi, Boga, sprawiedliwości, złodziei i sądów.

Temperament Stefana przeznaczył go do życia spokojnego w jakiemś małem miasteczku francuskiem, gdzie byłby pędził żywot mięczaków. Podróży, wszelkiego zmęczenia, niebezpieczeństw nienawidził, a jednakże najdziwniejsze okoliczności, jakby na złość i jakby chciały po ruszyć jego apatyę, pędziły go z jednego końca świata na drugi. Zaledwie uniknął jednego nieszczęścia, gdy ów los, który jakby chciał sobie robić z niego igraszkę, wtrącał go znowu w jakąś katastrofę, nie pozwalając mu nigdy rozporządzić sobą według swej woli, od chwili, gdy po rozbiciu okrętu, na którym płynął po Oceanie Indyjskim, zabrany został przez okręt holenderski i zawieziony do Batawii.

Od owego czasu nieprzyjazne okoliczności lub też potrzeba zarobku na życie pędziły go z jednej wyspy, na drugą z jednego na drugi ląd stały. Od lat dwunastu, to jest od czasu jak opuścił Francyą, jedyną miał myśl, jedyne żądanie, codziennie się powtarzające, a tem było powrót do swej ukochanej ojczyzny, i przez dwanaście lat los nieustannie go prześladujący nie pozwolił mu uskutecznić tego gorącego pragnienia.

Na szczęście natura jego nerwowa oddziaływała nań skutecznie. Na widok niebezpieczeństwa zaczynał drżeć lub uciekać. Ale jeżeli to niebezpieczeństwo stawało się groźnem, nieuniknionem, Stefan wówczas odzyskiwał w jednej chwili przytomność umysłu i z nadzwyczajną energią stawiał opór. Wzruszenie, jakiego wówczas doznawał, doprowadzało go do ostateczności, równającej się początkom szaleństwa.

Gdy Alfred Parot ujrzał przed sobą nieszczęśliwą bladą ofiarę nieprzychylnego przeznaczenia, lekki uśmiech pojawił się na ustach jego i zawstydził się swej rozpaczy.

Stefan Godel był niezawodnie, i to przynajmniej po raz setny kompletnie zrujnowanym przez podobny pożar, jaki w owej chwili srożył się w mieście drewnianem, to też nie dając czasu Alfredowi rozmyślać długo nad katastrofą, wziął go pod rękę i poprowadził do portu

Okręt przybyły dnia poprzedniego naładowany był beczkami wódek rozmaitego gatunku. Dwaj zrujnowani kupili za pozostałe fundusze kilka małych baryłek araku, gdańskiej wódki, dżinu itd., najęli taczki i na nich zawieźli swój towar blisko miejsca, gdzie pożar najbardziej się srożył. Tam wszyscy byli zajęci ratowaniem, lecz Godel, który był przyzwyczajony do katastrof różnego rodzaju, wiedział przez doświadczenie, że w podobnym razie, każdy ma więcej pragnienia, aniżeli w pospolitych warunkach życia i chętnie wychyli jeden, drugi i trzeci kieliszek jakiegoś kordyału wzmacniającego, choćby ten kosztował dwa lub trzy razy tyle, co zazwyczaj się płaci za niego.

Dwaj wspólnicy założyli tedy szynk pod gołem niebem. Dawali nie jednemu darmo, innym za pieniądze. Przez dwa dni i dwie nocy, rozprzedali cały zapas wódek kupiony w porcie. Poszli więc po inny do tego samego okrętu, a tak przez cały czas trwania pożaru, to jest przez dni kilka, w których ogień srożył się to w jednej, to znów w drugiej części drewnianego miasta, rozprzedali rozmaitych trunków za 8.000 franków, na których czystego zysku mieli 5 000 franków.

Obydwaj wspólnicy byli nadzwyczaj strudzeni. Adolf Parot spał stojąc, nerwowy zaś Godel, po silnem wytężeniu, jakie musiał w tych kilku dniach czynić, wpadł na nowo w swój zwyczajny stan tchórzostwa i zaczął się bać wszystkiego.

Wówczas stał się fakt niesłyszany i niewidziany dotąd nigdzie... Oba nowi przyjaciele pozostawili beczułki z napojami same, położyli na nich tackę, w której było ze 30 fr. drobnej monety dla zmiany i poszli spać. Rzecz dziwna zaiste, w tym tłumie przybyszów ze wszystkich krańców ziemi, tak różnej narodowości, obyczajów, usposobienia i bardzo wątpliwej moralności, nikt nie napił się wódki, dżinu, wiskey, bez rzucenia na tackę należytości, zmieniając drobną monetę na złote dolary.

Nazajutrz z rana znaleźli baryłki spirytusowych napojów próżne, a na tacce 200 dolarów (przeszło 1 000 fr.)

Jest to jeden z faktów charakteryzujących ową epokę w Kalifornii, w której pod najwięcej błahym pretekstem, jeden drugiemu zadawał nożem lub rewolwerem cios śmiertelny; w której do aktora na scenie strzelono i zabito za to tylko, że gra jego niepodobała się jednemu z widzów, w której cieśle podkładali ogień pod drewniane domy, ażeby sobie dostarczyć roboty, ale w której nie było złodziejstwa, z łaski doraźnego i prędkiego sądu, zwanego prawem Lynczu *).

Po tak korzystnym kilkudniowym handlu wódką każdy ze wspólników posiadał przeszło 3.000 franków. Z całego miasta San-Francisco pozostało zaledwie kilkanaście domów oczernionych, a niewiedzieć nawet z jakiej przyczyny ocalonych od ognia. Kto nie był cieślą, nie miał nic tam do roboty przynajmniej przez miesięcy trzy. Ani Alfred Parot, ani Stefan Godel nie byli cieślami. Po krótkiej więc naradzie udali się znowu do portu i tam wynaleźli okręt naładowany kołdrami wełnianemi. Każdy kupił jednę, a zaopatrzywszy się w siekiery, szpadle, motyki, broń palną i amunicyę, wyruszyli do kopalni Mukalume.

Kopalnie te odkryte przez dwóch Francuzów nazwiskiem Furcade, które przez długi czas nosiły ich imię, były podówczas najobfitsze w drogi kruszec. Jak gdyby ślepa fortuna chciała wynagrodzić Alfreda Parot i Stefana Godel za poprzednie klęski, natrafili oni odrazu na bogatą i znacznej obfitości żyłę złota. W cztery miesiące po kopaniu, przesiewaniu, przetapianiu i tym podobnej pracy owych zwykłych zajęć przy wydobywaniu drogiego kruszcu z ziemi, każdy z niedawno zawiązanej spółki był już w posiadaniu 8 000 dolarów (40.000 fr.)

Alfred Parot, opuszczając kopalnie, miał zamiar pojechać do San-Francisco, i tam pozostając pewien czas, spróbować jakiejś operacyi handlowej lub przemysłowej, potem zaś, gdyby mu się ta powiodła, zamyślał udać się Chili, gdzie postanowił stale osiąść.

*) Prawo Lynczu (Lynch) zasadzało się na tem, iż złapany na uczynku złodziej był natychmiast sądzony przez otaczającą go ludność, skazany i w kilka minut powieszony.

Stefan Godel zadowolony z posiadania 40.000 fr., które w pasie skórzanym nosił ciągle na sobie, wznowił swój od lat dwunastu ulubiony i nieustający projekt powrotu do ukochanej Francyi.

* * *

Dwa okręta parowe stały w przystani na rzece Puerco i lada chwila miały wypłynąć do San-Francisco.

Adolf Parot chciał wsiąść na ten, który miał nazwę *Oregon*, Godel wstrzymał go mówiąc:

— Ja znam ten okręt. Wprawdzie prędko on idzie, ale nie jest mocny ani trwały, a z tego powodu przedstawia niejakie niebezpieczeństwo. Wsiądźmy lepiej na ten drugi. Nebruska niedawno zbudowany i to doskonale, a równie prędko płynie.

— Czy zawsze będziesz tchórzem? — zapytał śmiejąc się Parot.

— A tak, zawsze — odrzekł Stefan Godel, nie dziwiąc się wcale zapytaniu i pociągając za sobą towarzysza swego ku okrętowi, który mu się wydawał bezpieczniejszym.

Obydwa statki ruszyły równocześnie z miejsca o godzinie 5tej wieczorem. Czas był mglisty i wilgotny. Nasi podróżni obwinąwszy się należycie w kołdry wełniane, które im służyły w kopalniach, położyli się na pokładzie i wkrótce zasnęli.

W początku podróż odbywała się bez żadnych przeszkód. Płynący o kilkaset kroków Oregon nie zdawał się okazywać żadnej chęci współubiegania się o pierwszeństwo. Dwa okręty płynęły w pierwszych chwilach spokojnie po rzece Puerco, głębokiej a w górnej swej części tak wąskiej, iż nie tylko nie mogły mieć chęci i sposobności wymijania się, ale każdy z nich nieraz przy raptownych zakrętach musiał dla ulżenia wysadzać swych podróżnych i dopiero przebywszy niewygodny punkt, zabierać ich napowrót.

W taki sposób przybyły owe statki do miejscowości położonej nad brzegiem rzeki zwanej Wenizia, dawniejszej stolicy stanu Kalifornii, i tam zatrzymano się dla zabrania towarów i podróżnych.

Kwadrans przed przybyciem do tejże przystani, Adolf Parot i Stefan Godel przebudzeni byli strasznym hałasem, tupaniem i krzykami, jakie powstały na pokładzie okrętu, na którym płynęli. Stefan, który był jak wiadomo usposobienia tchórzliwego, zbladł okropnie, gdy ujrzał iż kilku ludzi, wzniosłszy jednego pasażera w górę, rzuciło go przez barjerę w rzekę. Ofiarą tą prędkiej a często w Kalifornii praktykowanej sprawiedliwości w owym czasie, był jakiś Meksykanin, który grając w karty z pasażerami, zapomniał zasad uczciwości i moralności, i oszukiwał.

Doraźna ta egzekucya odjęła dwom Francuzom chęć dalszego odpoczynku. Podnieśli się więc i spostrzegli, że pewne ożywienie panowało na pokładzie. Znaczna część pasażerów, po większej części Amerykanów powracających z kopalni złota i obładowanych tym kruszcem, zajęci byli grą w *Monte* i lansknechta, zakrapiając się przy tak ważnej czynności rozmaitego gatunku trunkami i... szampanem, którego butelka kosztowała 50 franków.

Spirytusowe napoje dopomagając fantazyi, va-bank powtarzały się często. Rewolwery i noże

były niekiedy w robocie. Na wymyślaniu i przekleństwach rozmaitego rodzaju także nie brakowało. Wprawdzie wszyscy nie byli jeszcze zupełnie pijani, lecz łatwo było przewidzieć, iż w krótkim bardzo czasie dojdą bez wyjątku do bezprzytomnego stanu.

Stefan Godel patrzył na tę całą scenę z nieograniczoną trwogą i mówił sobie po cichu: „Przeczuwam, że się stanie coś takiego, co mi przeszkodzi wsiąść jutro na okręt odpływający do Francyi. Nie wiem co będzie, ale z pewnością coś fatalnego się przydarzy. W obudwóch tych statkach, które teraz niedaleko siebie płyną, jest coś, co zapowiada nieuniknioną katastrofę.

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE

przez

WOJCIECHA HR. DZIEDUSZYCKIEGO

(Ciąg dalszy.)

Piotr siwy i łysy, o nieco zadługiej i za żylastej twarzy, siadł za Jędrzejem i głowę na lewo obrócił, by patrzeć na Chrystusa. Zdziwione podniósł obie ręce od łokci do góry, i dłonie rozwarte ku nam zwrócił. Chce niby odepchnąć od siebie myśl zbrodni. Postać ta łączy się w jednę grupę z dwoma apostołami, co obraz na prawo od Chrystusa zakończyli, i ku nim z lekka się cofnęła. Blondyn, co ma rysy greckie, a włos i brodę Chrystusową, wyciągnął rękę po za plecy Piotra, i dotyka nią ramienia Jędrzeja. Wpadło mu snać jakieś podejrzenie, i radby go udzielił, bo cały pochylił się ku Jędrzejowi. Głowa jego nieco energii i podniosłości pozbawiona. To Tomasz. Ostatni na prawo, o wąski bok stołu sparty, Jakób starszy, posiada ogromne i atletyczne ciało, w wybitną niebieską draperyą ubrane, nieco krótką szyję, bardzo regularne rysy, a kędzierzawy, czarny, krótki włos i porost. Podniósł się nad stołem pochylony stoi i — nie rozumie. Wielkie ciało utrudniło pojęcia — ale to człowiek prawy.

Nieco otyły, w widną amarantową szatę przyodziany, a z włosami i brodą z nazareńska ułożonemi, Marek, siadł na lewicy Pana. Twarz szczuplejsza od ciała, a czoło ogromne. Prawą rękę cisnął w tył, lewą położył na stole. Cały zwrócony ku Chrystusowi, tłumaczy Jemu z otyłą flegmą, że Jego podejrzenie prawdziwem być nie może. To samo czyni, energiczniej jeszcze, kudłaty brunet: Barnabasz, co się z miejsca zerwał, i tylko głowę i gestykulującą rękę z po za Marka ku Chrystusowi wyciągnął. To samo czyni, (podobnie jak Jan w zieloną szatę przyodziany) brat Jana, Jakób młodszy. Stoi za Markiem pochylony ku Chrystusowi, i obie dłonie przycisnął do serca, jakby chciał mówić: „ani w tem, ani w żadnem z naszych serc myśl zdrady nie powstanie.“

Gwałtownym ruchem, wyciągnął z rzymska wyglądający Filip obie ręce ku Chrystusowi, a głowę zwrócił w przeciwną stronę. Dalej siedzi Mateusz, zwrócony w tę samę stronę, co Filip; ręka jego kurczowo na piersi złożona. Starzec Maciej, jak po rękach i oczach widać, żywo z nimi rozmawia. Szata jego jasno żółta odbija od szafirowego płaszcza Filipa. Spokojny, choć szybki ruch starca, bystry jego wyraz, chuda twarz, a cienkie i orle rysy, niemniej od szaty odbijają od gwałtownych a ciężkich poruszeń ociężalszego Filipa.

Wieczerza zastawiona w pokoju, który zupełnie na siebie uwagi nie zwraca. W głębi widać drzwi i dwa niezaszklone okna, a przez nie zielony krajobraz.

Co do kolorytu, co do ugrupowania, co do rysunku i draperyi, i wreszcie, co do przewa żnie ciemnego tła wrócił Leonardo do intelektualnej, matematycznej metody Masaccia. Te same wielkie ciała i jaskrawe szaty jaśnieją architektonicznie ustawione na nijakiem tle. Jest symetrya, jest podział na pięć części, Chrystus najzupełniej tworzy środek obrazu, a mimo to jest swoboda i życie. Pod względem układu, obraz ten zadowalnia rozum a świadczy o swobodzie mistrza. Głowy zato zbliżyły się do greckiego ideału. Chrystus i Jan doszły zupełnie doń, a tamte typy, to po Leonardowsku wybrane portrety pięknych ludzi. Rozmaitość głów dodaje złudzenia, choć trochę od ideału oddala. A wiemy, że Leonardo szukał ideału w rzeczywistości.

Ale najciekawszą charakterystyką obrazu myśl jego. Chrystus powiedział wieczerzając tęskne słowo, a słowo owo wzbudziło we wszystkich do koła różnorodne uczucia — jedną wywołane sprężyną. Jeden tu tylko winien, Judasz, i tego słowo nie skruszy; tamci wszyscy niewinni, wszyscy oburzeni, wszyscy nie dowierzają, wszyscy pobudzeni szlachetną miłością dla Chrystusa, a jednak każdy inaczej się zachowuje pod doznanem wrażeniem. Leonardo rozwinął tu dziwną psychologią, i zgotował dla widza ucztę rozumową, głębszą od podziwiania ideału form fizycznych. Patrząc na obraz, odkrywasz z radością wzrastającą różnojednię w uczuciach. Czytasz księgę, co namacalnie jednę rzecz na wszystkie sposoby rozbiera, i do głębi bada. I ruch fizyczny i ruch duchowny wywołany jednem tchnieniem zadziwia i cieszy harmonią swoją rozum, co rad w jednej rzeczy widzi wielu skutków przyczynę — co rad rozmaitość swobodną pod jedne sprowadza prawo.

A gdy zaczynasz współczuwać z tymi ludźmi, widzisz, że wszystkich łączy szlachetna, poświęcająca się, zapominająca o sobie miłość dla Chrystusa. Miłość ta, podobnie jak cały układ obrazu, kieruje wciąż twoję uwagę na idealną zupełnie postać Pana, a gdy się w nią wpatrujesz, czujesz, że ona pełna spokoju, łagodności, miłości i przebaczenia — a przytem widzisz, że to postać boska, nieskończenie wyższa od otoczenia swego, i od ludzkości całej — a czujesz, że choćeś grzeszny znajdziesz w niej łaskę, podporę i przebaczenie. Ten Chrystus, to Bóg co zna nieznane na Olimpie miłosierdzie, a ten obraz świadczy, że i mądry a sceptyczny Leonardo ulegał urokowi Ewangelii, i że i jego dusza wymagała czasem nadprzyrodzonej, wszechmocnej a litościwej pomocy. Ten obraz, to jedyny dług spłacony przez Leonarda chrześciaństwu.

Łatwo się domyśleć, że wpływ tak wszech stronnego umysłu jak Leonarda da Vinci, a do tego umysłu umiejącego tak dobrze wyrazić i filozoficzne i religijne dążenia stulecia, musiał być potężnym; i był nim w istocie. W Medyolanie wpływ ten utworzył tak zwaną „szkołę lombardzką“, w której Leonarda wprost naśladowano. Szkoła ta rozwijała się po za Toskaną, była jednak do tyla zawisłą od sztuki florentyńskiej, że tu należy się o niej wspomnieć. Najznakomitszym medyolańskim malarzem był *Bernardino Luini*, człowiek równie zamożny jak Leonardo da Vinci, uczeń jego i zapalony czciciel, żyjący na początku szesnastego wieku. Luiniego można widzieć tylko w Paryżu i w Medyolanie, a przedewszystkiem w Medyolanie. I on posiadł własny ideał niewieści, wyobrażany czasem jako Herodyada, a czasem jako Marya. Widać go w obydwu postaciach w Luwrze. Jestto zawsze ta sama głowa, wzięta z życia, ale piękna. Twarz to podłużna, dość szczupła, nos z lekka zgięty, oczy spokojne a błękitne, włos czarny, cera bronzowa i bogata — inna wcale jak u Leonarda. Ale uśmiech słodki fantastycznych utworów mistrza igra na kształtnych uściech, a w oczach ta sama, co u mistrza głębokość. Obie głowy w Luwrze, jedna w *salon carré* a druga w galeryi z profilu zwrócone. Jedna zapatrzona na brzydkiego Chrystusika podobnego do dzieci Leonarda, druga odwrócona od głowy świętego Jana przypominającej Leonardową głowę Meduzy. Głowę tę podaje Herodyadzie na tacy człowiek umyślnie karykaturalnie brzydki, z nosem o kształcie ogromnego ogórka i z wielką brodawką na nosie. W Boera w Medyolanie siadła ta sama kobieta widziana z dzieckiem, i opromieniona aureolą i uśmiechem wśród altany róż. Mnogie freski w Medyolanie zawsze tego samego malarza przypominają ciągle owe dziwne utwory, w których Leonardo Monę Lizę w inny świat przenosił. Przychodzi nawet na myśl, że piękność Luiniego jest to złagodniała Mona Liza i nic więcej. Widać ją jako świętą Agnieszkę na ściennem malowidle. Tu masy traktowane tak jak na „wieczerzy“, ale widać tylko dwie postacie. Jedna męska, bardzo brzydka, z wielkim nosem i brodawką, dźwignęła miecz katowski oburącz. Druga, to Mona Liza złagodniała i uśmiechająca się wiecznie. Dla niej śmierć igraszką. Gdzieindziej znów dwu aniołów leci przez błękit niosąc ciało Matki Boskiej. I aniołów i Madonny draperye i włosy rozpuszczone bujają w wietrze. Układ ich architektoniczny, malowanie tradycyjnie śmiałe, a wiecznie jednakowy uśmiech na twarzy. I Chrystus Luiniego bywa tylko Moną Lizą uśmiechniętą, przyodzianą w męski, płowy porost.

Bramantino ukochał Madonę płową, tłustą prawie i śliczne tłuste dzieciątko, a malował tylko freski, w których tylko uśmiech i oczy zostały po Leonardzie. Madonna z dzieckiem zawsze siedzą na tronie, a aniołowie śpiewają i grają do koła. *Lorenzo da Credi* tworzył portrety bardzo podobne do Leonardowych, *Cima da Conegliano* i *Cezare da Sesto* malowali ciągle Chrystusów na małych olejnych obrazkach. Chrystusy owi dźwigają czasem krzyż, a czasem każą na puszczy. Ni post, ni korona cierniowa ich nie bolą, a twarz ich, to zawsze oblicze Chrystusa na wieczerzy. *Marco d' Oggione* malował twardo i zimno, ale malował Monę Lizę przemienioną i złagodniałą a zwyciężającą boleść. Jako święta Katarzyna uśmiecha się z rozłożonemi rękami między dwoma w ostre zęby uzbrojonemi kołami — jako święty Michał skrzydlata i w pancerz przyodziana depce po brzydkim czarnym dyable, jako Matka Boska klęczy w małym ubogim pokoiku, do którego aniołowie zawitali wśród deszczu lilii. Wszystko w tej szkole dzieje się w dziwnym świecie, gdzie pełno woni i światła, i kwiatów i klejnotów, gdzie się święci uśmiechają, i gdzie złość najprzewrotniejsza spokoju nie zamąci idealnym tworom, wymarzonym najpierw przez Leonarda — a których wewnętrzna doskonałość od cierpienia broni. (C. d. n.)

WET ZA WET.

OBRAZEK Z ŻYCIA KRAKOWSKIEGO,

przez

AUTORA: „KŁOPOTÓW STAREGO KOMENDANTA".

(Ciąg dalszy.)

Konsylium w hotelu Saskim wypadło tak, jak wszystkie wypadają konsylia, gdy ładne panie mają chęć przejechać się do wód za granicę. Stosownie do życzenia panny Ludwiki, znalazła się jakaś odpowiednia choroba, obecnie wprawdzie malutka, lecz w przyszłości mogła być groźną, — zatem, jednozgodnie zaaplikowano kąpiele w Krynicy, picie wody Bilińskiej, i wiele ruchu

Podczas badania chorej i następnie, po odejściu przyzwanego profesora, nasze Litwinki nadzwyczaj ceremonialnie obchodziły się z Pawełkiem — a co dziwniejsza nawet, ciocia Wiktorya, tak wczoraj energiczna, dziś przybrała również poważną, choć mniej obojętną minę.

Właśnie była to niedziela, a usłużna młodzież, bo zjawił się i znajomy pan Tadeusz, zaproponowała przechadzkę do strzeleckiego ogrodu. Dla nas w Krakowie ogród ten, z muzyką wojskową, jest sobie poprostu neutralnym salonem, gdzie prezentujemy jedni drugim wszystkie nowe suknie i kapelusze, i gdzie krytykujemy otwarcie różne kokardy, uczesanie włosów i malaturę twarzy. Słuchając hucznej muzyki, liczymy skrupulatnie wypitą ilość kufelków piwa, wiemy kto jadł kwaśne mleko, a kto zamrożony śnieg z malinowym sokiem, nazwany tu lodami — narzekamy na ciężkie czasy i zbytki żon cudzych. Podczas takich koncertów, każda kieszeń nasza robi się szklanną i wszyscy z prawdziwą satysfakcyą, liczymy co się w niej znajduje; — nawet serca kobiece stoją otworem, jak publiczna hypoteczna księga, w której wyczytać łatwo wszelkie intabulowane i nieintabulowane skłonności i inne serwituta czasowe lub zobowiązania wieczyste.

Pojawienie się nowych i nieznanych dam litewskich w towarzystwie miejscowych kawalerów — było powodem publicznej ciekawości. Tadeusz, nie odstępując panny Ludwiki, tryumfował, prowadząc ją w te ulice, gdzie najpewniej mógł spotkać znajomych konsyliarzy sądowych, a choć panna Emilia rzucała na niego piorunujące spojrzenia, nic mu to nie przeszkadzało być dowcipno złośliwym przy opisywaniu różnych osobistości Krakowa.

Panna Ludwika, zajęta również wyłącznie Tadeuszem, szanownemu doktorowi zostawiła na ofiarę ciotkę Wiktoryę z Joanną, które pokilkakroć całą mocą wstrzymywały się od ziewania.

— Panowie dawno się znacie z panem doktorem? — pyta Ludwika towarzysza swego, gdy się nieco od reszty osób oddalili.

— O już kilka lat, jesteśmy najserdeczniejszymi przyjaciołmi.

— Czy on zawsze taki roztargniony?

— Niestety, bardzo ma lekko w głowie; kocham go, bo rzeczywiście na to zasługuje, i chciałbym wpłynąć na niego, ale trudno, proszę pani...

— Szkoda chłopca...

— Prawda, że szkoda, serce jak najlepsze, tylko że nie dba o siebie... Niech tylko dostanie zkąd jaki grosz, to natychmiast topi on się w jego ręku. Każdemu koledze, czy chce, czy nie chce, gotów pożyczyć, i gotów podpisywać weksle; u niego wszyscy są dobrzy, wszyscy zacni, uczciwi... A teraz proszę pani, świat inny... tylko się wdać z tą młodzieżą dzisiejszą. Ja, co prawda zapłaciwszy już dwa razy po sto reńskich, trzymam się tej zasady: przyjaźń przyjaźnią a interes interesem; za nikogo, nawet za rodzonego brata, bym nie ręczył..

— Bardzo słusznie — mówi panna Ludwika — człowiek przedewszystkiem powinien pamiętać o sobie...

— Święte słowa pani powiedziała, ale to jakby mi je pani z ust wyjęła. Dziękuję za taką przyjaźń i za dobre serce, jeżeli, nie jedząc ani pijąc, mam za kogoś płacić... ja, pani dobrodziejko, w pocie czoła pracuję... bez pieniędzy, dziś ciężka sprawa na świecie. A co do Pawełka, to powiem pani, pod sekretem, odkąd go znam, zawsze w długach u żydów.

— Nie może być!

— I to powiem pani, otwarcie — mówi ciszej, oglądając się za siebie — grubo.. Żal mi chłopca, bo jedyny na przyjaciela.

— A praktyka, jakże mu idzie?

— Eh — rzecze, machnąwszy ręką — nic nie ma! Mówią koledzy, że bardzo zdolny, ale on wdał się w literaturę, niby coś pisze, jakieś niedowarzone korespondencye, ludzi sobie ponarażał. Ja wprawdzie tego nie czytałem, bo prócz książek prawnych, z zasady nic nie czytam, ale mówili mi inni, że gwałtem świat chce reformować...

— A jeżeli to prawda, co pisze?

— Może być, że i prawda, ale po co, proszę pani, zadzierać z ludźmi? Nie mówię, gdyby był niezależny, a no, to co innego. Ja, pani, mam inną metodę: pięknie, grzecznie ze wszystkiemi,— i przez to nie mam nieprzyjaciół. U nas, naprzykład, źle patrzą na każdego, gdy nie jest pobożnym. Ja też idę sobie co niedziela z książką od nabożeństwa do kościoła, staję naprost ambony, żeby mię kaznodzieja widział, i wielka rzecz, że się tam pomodlę jakie pół godziny: zaszkodzić mi to nie zaszkodzi... A on to zaraz wdaje się w jakieś rozumowania, szydzi ze mnie, że jestem hypokrytą, — ale mi z tem dobrze... Dzięki Bogu, za miesiąc już otwieram kancelaryę adwokacką na siebie, i nie boję się o praktykę. No, i nie jestem bez grosza...

— Bardzo rozumnie, pokazuje się, że jesteś pan człowiekiem praktycznym — mówi Ludka.

— Tak, proszę pani, dziś kapitał jest siłą... Dlatego też, jak uzbieram setkę lub dwie, zaraz ci kupuję Ludwika..

— Dobrze, że nie Ludwikę, bo byłabym w obawie — rzecze wesoło panna — a proszę racz mię objaśnić, dlaczego pan masz taką predylekcyę do Ludwików?

— To są, proszę pani akcye kolei galicyjskiej Karola Ludwika... śliczny papier... pewny.. Niedawno stały po 197, kupiłem, a teraz już warte 225. Mówią mi, sprzedaj — ale ja nie. I paniom radziłbym, po odebraniu tej sukcesyi, kupić Ludwiki.. one jeszcze pójdą w górę... Mam kilkanaście czerniowieckich, ale to już nie to...

— Żeby były jakie Tadeusze — mówi, patrząc nań z uśmiechem Ludwika — możebym kupiła, choćby tylko przez wdzięczność, że pan tak szanujesz mojego patrona...

— Tembardziej teraz, gdym poznał tak piękną osobę, noszącą jego imię, przepadam za Ludwikami — dokończył, zadowolniony wielce ze swego frazesu, pan Tadeusz.

Tymczasem zbliżyła się i reszta towarzystwa; usiedli więc przed werandą, a grzeczny pan Tadeusz zaproponował paniom lody. Damy się wymawiały, ale usłużny kawaler nie odstąpił i pobiegł do bufetu.

— Kuzynku — rzecze, śmiejąc się Ludka do Pawła — czego masz taką nieszczęśliwą minę? Wyglądasz, jakby cię na krzyż przybijano.

— A jak czule przewraca oczami — dodaje ciotka.

— Widocznie jest zakochany — wtrąca pani Joanna.

— Czy naprawdę, kuzynku, jesteś zakochany?

— Nie, pani, ja myślę..

— Otóż, ciekawa jestem, co kuzynek myśli, czy nad jaką nową pracą literacką?

— Już widzę, wypaplał przed panią Tadeusz...

— O! wiele rzeczy ciekawych mi powiedział! Przyznaj kuzynku, że masz w nim serdecznego przyjaciela...

— Bardzo żałuję, że nie mogę mu się odwdzięczyć tem samem uczuciem.

— Dlaczego?

— Bo już nie jestem zdolny do żadnych uczuć...

— Nie pleć! — zawoła z irytacyą ciotka— jaki mi Bajron, desperat...

— Moja ciociu, cóż ja temu winien, że jestem jak lód.

— Gdybyś kuzynek powiedział przynajmniej jak lody, to jeszcze byłbyś do czego przydatnym... możnaby cię zjeść.

— Znać zaraz osobę praktyczną.

— Rzeczywiście, nie zapieram się, i co się tyczy ludzi, to oceniam ich podług wartości

— Tym sposobem, gotowaś mnie pani przeznaczyć na zjedzenie bez apetytu...

— A czy to nie powinno panu być przyjemnem? Pamiętasz kuzynek, kiedy to bawiliśmy się razem dawno, bardzo dawno, na wsi u jego rodziców... przyrzekałeś oddać mi życie... Ależ, na miłość Boską, czego się tak kuzynek rumienisz i bledniesz! Nie obawiaj się, nie będę korzystała z tych przysiąg... uspokój się, panie doktorze, jeszcze nie zabieram się do zjedzenia pana...

— Można w rozmaity sposób zjadać...

— Wiem i to, wiem: w kotletach, w pieczeni, nawet posiekać na zrazy, i nie zaręczam...

— Ludko, serce — rzecze ciotka — co też ty wygadujesz!

— Nawet słowami — mówi dalej jakby do siebie Pawełek.

— No, to już dam panu pokój. Mój kuzynek od czasu widać, jak został doktorem, zrobił się bardzo drażliwym na żarty, gdy idzie o jego osobę... Naprawdę, my Litwinki, musimy się wydawać panu bardzo zabawnemi, a przynajmniej bardzo oryginalnemi istotami...

— Ja bo przepadam za oryginalnością — rzecze Tadeusz, prowadząc za sobą służącego z lodami.

— Mówiliśmy tu o jedzeniu — wtrąca pani Joanna.

— To... to... to... — przyznam się paniom, że wszystkiego potrafię sobie odmówić, ale co do jedzenia, nigdy sobie nie żałuję... Zdrowy pokarm daje trzeźwość umysłową, utrzymuje porządek w organiźmie...

— Chroni od sentymentalizmu — dorzuca Ludka.

— Tak, tak, pani dobrodziejko — sprowadza równowagę rozumu z sercem.

— I stanowi najtrwalszą podstawę szczęścia — kończy z całem przekonaniem panna Ludwika, zajadając lody.

— W ślimaczej skorupie — rzecze półgłosem oburzony Paweł.

Damy nie rzekły ani słowa na ten argument, a doktor zadumał się na seryo, pakując bezmyślnie do ust sporą gałkę od laski. — Kochany stryjaszek miał też po co przysyłać tu taką wędlinę litewską — myślał — szkoda tej anielskiej postawy dla tak prozaicznej duszy... I jeszcze śmie mi przypominać dawniejsze przysięgi.. wtedy była rozkosznem dzieckiem, a dziś to dziecko przemieniło się w prawdziwą półgąskę. Nie, nie... o innych ja marzyłem ideałach...

Trzeba szczególniejszego zdarzenia, że w parę dni potem, potrzebując informacyi prawnej, wstąpiłem do zajomego mi jeszcze z Karlsbadu pana Tadeusza Rekursowicza. Mieszka on przy ulicy Floryańskiej, na pierwszem piętrze, odnajmując od jakiegoś majora dwa pokoje od frontu, i co dziwniejsza, że przychodzącego po radę bezpłatną, przyjął mnie nadzwyczaj grzecznie.

— Ach! żebyś pan mógł wstrzymać tę sprawę; za miesiąc otwieram moję kancelaryę.

— Bardzo winszuję panu, ale, jak widzisz pan z toku rzeczy, nie mogę zwlekać..

— No, zapewne — mówi roztargniony, chodząc po pokoju, i nie spiesząc się wcale z udzieleniem informacyi. Naraz, zatrzymawszy się przy starej kanapie, pyta: — Proszę pana, jako człowiek familijny, znasz się pan na meblach... czy może być co z tej kanapy?

— Dlaczego nie... dać nowe pokrycie..

— I będzie wyglądać porządnie?

— Sądzę, że będzie... robota widzę niezła.

— Bo widzi pan dobrodziej, jestem... tego prawie, prawie na ukończeniu...

— Czego?

— Zmiany stanu.

— Wiem, otwierasz pan na siebie kancelaryę...

— Prócz tego..

— A... a... a... — mówię, śmiejąc się — widziałem na koncercie, asystowałeś pan prześlicznej brunetce z niebieskiemi oczami... wszyscy mówią tylko o tej pani...

— Nie może być? — zawoła rozkosznie uśmiechnięty — proszę kochanego pana, siadaj.. może cygarko... mam wyborne Trabucos... Prawda, że to coś osobliwego, ta pani, co?... Otóż, muszę się pochwalić, jesteśmy z sobą bardzo.. o! bardzo blisko...

— I dlatego chcesz się pan meblować?

— Naturalnie — już szukam mieszkania, bo to trzeba panu wiedzieć, jest ciepła Litwinka, panie dobrodzieju... odbiera dwakroć sukcesyi po ciotce.. słyszałeś pan, po hrabinie Kotulickiej ze Lwowa... to jej wnuczka...

— Nic nie słyszałem — mówię zaciekawiony — ale, powiedz mi pan, gdzie wynalazłeś taką gwiazdkę...

— Panie dobrodzieju, szerokoby o tem mówić; ale jak Pan Bóg co komu przeznaczy, to samo szczęście lezie w ręce. — I opowiedział mi całą historyę ze szczegółami, którą dopiero co opisałem czytelnikom.

— Pawełek się wścieka, mówię panu.

— Ale, bo też sprzątnąłeś mu pan takie cacko z pod nosa prawie...

— Tak, panie, tak — mówi, zacierając ręce — już teraz człowiek wypłynie. Pracowało się, kształciło lat tyle, a zawsze z Panem Bogiem... otóż i Pan Bóg wynagradza..

— A zatem tylko powinszować panu — rzeknę podając mu rękę — ale że czas mi drogi, proszę racz mi powiedzieć, jak tu zrobić z tym aresztem?

— Mój drogi panie — odzywa się z całą otwartością — odłóż pan tę egzekucyę na miesiąc... dłużnik nie ucieknie...

— Ogłosi bankructwo..

— To cóż, przyjdziemy do konkursu.. Ja, panie dobrodzieju, całą sprawę przeprowadzę jak najlepiej... Dziś, sam pan widzi, ani czasu ani głowy nie mam do tego... Przepraszam kochanego pana — mówi, ściskając czule moje ręce — ale, jeżeli już tak panu pilno, idź pan do naszego Wrześniowskiego... on najlepiej poradzi...

A bodajże cię dyabli wzięli, pomyślałem sobie, wychodząc od tego sobka — kilka słów objaśnienia żałował wymówić bezpłatnie, i odesłał mnie do adwokata, z którym współkę prowadzi... tak to tak ludzie umieją korzystać nawet z przyjaciół... (C. d. n)

PRZED LATY.

przez

MARYANA DUBIECKIEGO.

Siedmdziesiąt zaledwie lat upłynęło od pamiętnej chwili, gdy na Wołyniu panował ogromny ruch umysłów, dążący do podniesienia oświaty w ziemiach zabużańskich, a już i pamięć owych usiłowań zupełnie wygasła. Nie mówiąc o dalszych dzielnicach, lecz powszechność Wołynia, Ukrainy i Podola, tak przed siedmiu dziesiątkami lat ochoczo krzątająca się w niesieniu wielorakich darów, co miały dźwignąć instrukcyą publiczną, tak zajęta powstającemi instytucyami, w których młódź owych ziem kształcić się miała, dziś prawie zupełnie zapomniała o tej chlubnej chwili własnej przeszłości, uświęconej pracą i ofiarnością swych ojców i dziadów. Co więcej, obecna doba wobec kiełkujących gdzieniegdzie usiłowań, lub tylko projektów rozszerzania oświaty wśród niewieściej połowy naszego społeczeństwa, posiada to mylne przekonanie, że rzeczone dzisiejsze usiłowania nie miały poprzedników, że są pierwocinami prac na polu rozszerzania wiedzy wśród kobiet naszych. Prace i wielorakie pomysły Hugona Kołłątaja i Tadeusza Czackiego w znacznej części urzeczywistnione, a mające na celu rozkrzewianie oświaty wśród kobiet na Zabużu, dla teraźniejszych pokoleń są po części rzeczą nieznaną.

Dwaj ci niestrudzeni pracownicy, mężowie niepospolitych umysłów, wielkiej miłości dobra powszechnego, zdumiewającej energii i poświęcenia, których obywatelskiemu duchowi nikt nie mógł sprostać, podnosząc i przekształcając upadłe szkoły, wznosząc a uposażając nowe, tworząc obszerne plany instrukcyi publicznej dla męzkiej młodzieży, zwrócili pilną uwagę na zakłady publiczne dla kobiet. Niewieście zakłady ich pomysłu, oparte na programatach szerokiego zakresu, miały być poddane zwierzchności władz edukacyjnych. Obywatelska myśl owych mężów, gorliwych o dobro powszechne, chciała promienie wiedzy rozszerzyć do najdalszych zakątków okolic, które były polem ich usiłowań. Opracowywano plany instrukcyi publicznej nie mniej dla dziewcząt z pod wieśniaczej strzechy, jak i dla tych, co miały się kształcić w wyższych umiejętnościach, aby się uzdolnić do przewodniczenia wychowaniu córek rodzin zamożnych kraju.

Rok 1803, w którym Czacki jako wizytator szkół objął zwierzchność nad naukowymi zakładami rzeczonych prowincyj, stał się dobą, kiedy jednocześnie z opracowywaniem planu wychowania dla męzkiej młodzieży podjęto zamiar zajęcia się instrukcyą publiczną kobiet. Wielorakie prace Czackiego, przy licznych podróżach, ciągłych stosunkach z miejscową szlachtą, którą wciąż zachęcał do nowych darów na rzecz edukacyi publicznej, obudzając ich uśpione uczucie obywatelskie, lub podniecając próżność, nie pozwalały jemu samemu oddawać się opracowywaniu obszernych planów i programatów.

Poryck — siedziba Czackich na Wołyniu — ten sam Poryck, co na zaraniu drugiej połowy XVIII. wieku, patrzył jak dziesięcioletnie pacholę, Tadeusz Czacki — później starosta Nowogródzki — już marzył o krzewieniu wśród tłumów światła nauki, i wedle słów podania, urządzał już tam wówczas szkółkę elementarną, rzadko później widział uczonego męża w rodzinnem gnieździe. Obowiązki dla społeczeństwa dobrowolnie na się przyjęte, i z zupełnem zaparciem się przez wiele lat dźwigane, zapełniały mu cały czas i znaglały go do życia, że tak rzeknę, koczowniczego. Gdyby nie ks. podkanclerzy, Hugo Kołłątaj, który wróciwszy ze czterechletnich ołomunieckich kontemplacyi, zamieszkał w swej wiosce Stołpcu, o półtory mili od Krzemieńca, a o dwa dni drogi od Porycka, można wątpić, czy przy całych olbrzymich zasobach wiedzy podołałby Czacki ogromowi wielolicznych zajęć. Znana wysoka nauka, doświadczenie pedagogiczne, i niezmordowana niczem praca wśród wiejskiego zacisza księdza Hugona, uzupełniały działania starosty nowogrodzkiego. Stanął przeto między nimi sojusz, na mocy którego mieli się wspierać wzajemnie. Wszystkie prawie projekta opracowywał Kołłątaj, lecz zawsze na nich miało być imię Czackiego, gdy tymczasem ten ostatni wziął na się całe brzemię wykonania szeroko zakreślonych planów i zebrania stosownych materyalnych środków. Zupełna tajemnica miała na zawsze okryć zasłoną niepamięci cały udział ks. podkanclerzego w owej reformie wychowania publicznego w prowincyach zabużańskich. I rzeczywiście, cel został zupełnie osiągniętym. Imię Kołłątaja nie przywiązują wcale do prac reformy Czackiego. Potomność ocenia ks. Hugona z działalności na innem zupełnie polu, nie domyślając się nawet, że i resztki życia, podobnie jak uprzednie lata, poświęcił on gwoli dobru społecznemu. Imię jego tak dalece zapomniane, że nie wiedzą nawet teraz dokładnie, gdzie spoczęły kości wielkiego męża; i gdy jedni miejscem jego grobu mienią Warszawę, co najbliższem jest prawdy, inni twierdzą, że umarł podczas powtórnego chwilowego pobytu na Wołyniu, w swym cichym Stołpcu, a wiejski cmentarz Ptyczy*) ma posiadać zapomnianą od kraju jego mogiłę.

Wiek ośmnasty zostawił Wołyniowi dość znaczną wprawdzie liczbę szkół, ale lata, co zamykały owo stulecie, postawiły je w stanie prawdziwie opłakanym; były to bowiem czasy, jak się Czacki wyraża w swem sprawozdaniu, „w których uczyć i uczyć się szczerze było rzeczą bar-

*) Wieś na Wołyniu, między Krzemieńcem Dubnem.

dzo trudną...“ „Nie chcę i nie mogę taić, — powiada współczesny — że wielka część młodzieży bez celu, ani do publicznego, ani do prywatnego życia nie jest uzdolnioną. Smutna tylko o jej dalszym losie wypada wieszczba. Okropna rzecz wyznać nareszcie, że we wszystkich prawie klasach corocznie zmniejszała się liczba uczniów.. Każdy rok liczył większą liczbę tych, którzy nie mieli ochoty dokończyć przepisanego kursu edukacyi. Czyniono szkodliwe w niektórych szkołach grzeczności, pozwalając przeskakiwać z klasy 1-ej do 3-ciej, uczenia się jednych nauk, opuszczania drugich, zkąd musiała się wzmagać pogarda wielu potrzebnych nauk*)“.

Wychowanie domowe, które było wyłączną prawie szkołą kobiety, w niemniej smutnych stanęło warunkach, bo życie rodzinne było w rozprężeniu, bo rozkład społeczny na każdym kroku boleśnie raził oko. Oto co mówi o owej bolesnej pamięci dobrze naoczny świadek:

„...Bawiono nas samemi roztargnieniami.... Zbytek, pląsy i różnego rodzaju oderwania od pracy, stały się obowiązkiem grzeczności lub attencyi... Oto płeć piękna, odbierając codzienne hołdy od tych, co ją zwieść usiłują, okrywa w wielkiej części wzgardą domowe gospodarstwo, patrzy na organizacyą nóg, jak na potrzebę nieuchronną, lekkość matki kilku nazwisk dzieci przenosi jeszcze rękę do niestatecznego śmiałka... Spokojność domowa, to jedyne szczęście w prywatnem zaciszu, prawie wszędzie znika; zgiełk zabaw ustawicznie trudzi; nieczynność i gnuśność stwarza narzekania na długość czasu i od tylu ważnych społeczności obowiązków usuwa**)“...

Takiemi to dosadnemi barwami zarysował obraz ówczesnego społeczeństwa człowiek, który podnosząc prace około reformy wychowania, wybornie znał swe społeczeństwo, wystudyował najdrobniejsze rysy jego barw ciemnych. Barwy smutne, ale prawdziwe! Owoce owego skażenia obyczajów pod niejednym względem do dziś boleśnie uczuć się nam dają... Jeżeli gniazda rodzinne nie mogły stać się wszędzie uczciwą szkołą dla przyszłych matek społeczeństwa, kilka nielicznych, ubożuchnych i w naukę i w środki materyalne zakładów naukowych dla kobiet, chroniących się w murach klasztorów żeńskich, bez jednolitego kierownictwa, bez światłych mistrzów, bez dobrych ksiąg elementarnych, nie wiele złemu zaradzały. Były to raczej przytuliska, do których nie tak łatwo powszechne zepsucie zdołałoby się wedrzeć, niż szczelnie kształcące opiekunki i mistrzynie przyszłych pokoleń. „Kobiety nie miały edukacyi od rządu przepisanej — mówi na innem miejscu tenże Czacki, — dobroć i czułość wpojone tylko zostały przez opinią i książki: wołano do płci pięknej, aby łagodziła obyczaje; ona, czyniąc te usługi drugiej połowie rodu ludzkiego, rzuciła zarody zniewieściałości... Kobiety, wychowane pod uległością, nagle uczuły swoję władzę, której nikt nie uporządkował edukacyą.“

Zakłady publiczne dla kobiet przy klasztorach, które zastała reforma wychowania publicznego Czackiego w r. 1803 na Wołyniu, były następujące: w Łucku u Brygidek, w Dubnie u Karmelitanek i w Żytomierzu, wtedy maluczkiej, nędznej mieścinie, u Sióstr Miłosierdzia; a nadto istniał zakład panny Polanowskiej, jej kosztem dźwignięty i utrzymywany, w Łucku, tudzież Bazylianki dubieńskie oświadczały gotowość zajęcia się wychowywaniem dziewcząt. Ogólna liczba wychowujących się dziewcząt we wszystkich tych szkółkach nie dobiegała liczby półtorasta, z których dwadzieścia dwie tylko uczyły się o własnym koszcie, inne były bezpłatne, co w każdym razie zwrócić powinno naszą uwagę, jako niezaprzeczony dowód niemałej ofiarności klasztorów, a zarazem być wskazówką, że wychowanice rzeczonych szkółek pochodziły przeważnie z rodzin ubogich. Bogatsze warstwy społeczeństwa w domu kształciły swe córki. Do miast dalszych, gdzie również klasztorne zakłady dla kobiet istniały, np. pp. Sakramentek w Warszawie, gdzie mistrzynią pensyi była w one lata latorośl królewskiego szczepu Burbonów, przeobleczona w Warszawie w suknie zakonne, Ludwika Adelajda księżniczka de Condé, nie posyłano wcale z rzeczonych prowincyj*) Dla synów mieszkańców Zabuża udanie się do konwiktu warszawskich Pijarów, tak słynnego w kraju już nawet przed reformą komisyi edukacyjnej, było rzeczą niezwyczajną dla odległości, co wtedy mieniła się wielką, tembardziej odesłanie córki do ogniska szerszej wiedzy dla tych i innych względów zaliczać się musiało do niepodobieństw, o których przezwyciężeniu nikt nawet marzyć nie ośmielał się.

Troskliwość matki, nauką zamknięta w bardzo szczupłych ramach, krewna, która nie miała własnego dachu i chciała czemś odpłacić tym, co jej dawali kęs chleba i nie skąpili ciepła ogniska rodzinnego, a wreszcie smutniejsza nadewszystko nauka emigrantów francuskich, którzy liczną falangą w owe lata przybyli na Wołyń, i radzi byli miewać zajęcia w domach szlacheckich, wystarczały potrzebom umysłowym znacznej części owoczesnych Wołynianek. Oprócz wyżej wspomnianych zakonnych zakładów, widzimy wśród tamtoczesnej społeczności na Wołyniu pięć prywatnych pensyi dla dziewcząt: w Sławucie, Krzemieńcu, Lubarze, w wiosce Sielcu, w powiecie włodzimierskim, która bardzo krótko istniała — i dość uczęszczany zakład Magnusowy w Korcu. Szkoły parafialne, acz w upadku, przekazał wszakże w tamtych okolicach wiek XVIII. swemu następcy w liczbie czternastu. Niektóre z nich umieściły się w dość ustronnych zakątkach kraju, jak Zahorów, Wieledniki, Trojanów, kędy i dziewczątka obok chłopczyków ćwiczyły się w abecadle i katechizmie. Wszystko to wszakże było za mało na Wołyń, co liczył wtedy samych głów męzkich około 530000 ludności, z której prawie 40000 mienić się chciało wyższą nad tłum warstwą społeczną i można przypuszczać, pragnęło podnioślejszej nauki. Zresztą reformatorowie zbyt poważnie zapatrywali się na naglącą konieczność podniesienia umysłowego poziomu niewiast, aby mogli poprzestać na tem, co się przed nimi roztaczało w dniach zaczynających nasze stulecie. Sądzili oni, iż daremne są wszystkie usiłowania poprawienia wychowania mężczyzn, jeżeli nie będzie przeprowadzoną dokładna poprawa wychowania kobiet. Kołłątaj, przebiegając myślą inne kraje Europy, wszędzie widzi, że jeżeli przedsiębrano pojedyńczo, tu i ówdzie, cząstkowe reformy wychowania niewieściego, nigdzie nie zastosowywano ich do szkół publicznych i nie poddawano pod wspólny ster wyższej magistratury edukacyjnej; nie zraża się on tem wszakże; wyższy jego umysł, prześcigający swą epokę, chce pierwszy torować drogę do wytworzenia rozumnego systemu edukacyi publicznej dla niewiast; wprowadza on przeto do publicznego wychowania kobiet nauki przedtem wykluczone z zakresu umiejętności przeznaczonych dla płci słabej fizycznie, którą niekiedy starano się ukształcić na płeć słabą umysłowie.

„Ktokolwiek się zastanowi nad nieuchronną potrzebą powszechnego oświecenia — są słowa Kołłątaja — przyznać powinien: iż nadaremnie pracowaćby przyszło nad urządzeniem najlepszego wychowania mężczyzn, gdyby zaniedbane zostało wychowanie kobiet. Czyli weźmiemy pod ścisły rozbiór niektóre umiejętności matematyczne i fizyczne, czy umiejętności moralne i nauki wyzwolone, jeżeli się dobrze nad ich pożytkiem zastanowić zechcemy, musimy przyznać: że one równie są potrzebne do edukacyi kobiet, jak je uznajemy za potrzebne do edukcyi mężczyzn. Kobiety składają istotną połowę społeczności ludzkiej, a ciężar obowiązków tej społeczności nierównie bardziej spada na nie. Natura składa w ich ręku wszystkie niemowlęta, których nietylko wyżywieniem, ale i wychowaniem zatrudniać się muszą. Pierwsze wrażenia prowadzą od najwcześniejszej młodości do nałogów dobrych lub złych; daremnie nieraz najlepsze wychowanie stara się poprawić to, co przez nałóg staje się drugą prawie naturą; trudno więc nie przyznać, jak ważnym jest społeczności ludzkiej interesem starać się o najlepsze oświecenie tych, które opatrzność przeznacza być matkami rodu ludzkiego, albo zatrudniać się najwcześniejszem wychowaniem niemowląt płci obojej.“

Wedle pojęć naszego myśliciela, wpływ kobiet jest tak przeważnym w każdem społeczeństwie, iż gdy owego wpływu nie uczynimy rozumnym, postawić on może powszechność nad brzegiem przepaści, a zatem w dziedzinie światłych niewiast mężczyźni nie będą mogli upaść moralnie, pochodnia rozumu niewieściego stanie się dla nich drogą przewodnią na życia gościńcach. „Bo czego częstokroć wychowanie i ostre prawa poprawić w mężczyznach nie zdołają — mówi pustelnik ze Stołpca — to dobrze wychowane i cnotliwe kobiety w najprzyjemniejszy sposób niewątpliwie poprawią. Ich łagodność i słodycz odmieni twardość i opryskliwość mężczyzn, ich niewinność i skromność będzie najlepszym hamulcem przeciw rozwiązłości i wprawi mężczyzn do przystojnego obcowania w pospolitem życiu; ich ekonomia zapobieży rozrzutności i zbytkom, wniesie obfitość w dom mężów; ich ochędóstwo poprawi niedbalstwo i opuszczenie się mężczyzn, w tym ważnym punkcie, od którego nietylko zależy przyjemność w pożyciu, ale nawet zachowanie zdrowia w czerstwości; ich pracowitość położy koniec upowszechnionemu teraz próżniactwu mężczyzn, ich gust w naukach sprawi, że mężczyźni, wyszedłszy ze szkół, nie będą się odzwyczajali od tej najprzyjemniejszej w życiu zabawy, która ożywia młodość, cieszy starość, przydatną jest w domu i między ludźmi, zdobi w pomyślności, w przeciwnościach staje się jedyną pociechą, towarzyszy na każdem miejscu i potrzebną jest nietylko do wysokich przedmiotów, jakiemi się czasem zatrudniać przychodzi, ale nawet w pożyciu domowem, wśród

*) Czacki „O stanie jeneralnym oświecenia w gub. Woł. i t. d. Tajn. Kons. i wizytatora Tad. Czackiego.

**) Czacki. — Tamże.

*) Wypadki wielkiej rewolucyi wraz z pokrewną jej rodziną królewską Burbonów kazały jej szukać schronienia w Polsce. Mieszkała ona w Nieświeżu, a później w Warszawie, gdzie została zakonnicą a wreszcie mistrzynią Pensyi Sakramentek. (1802 r.)

prac wiejskich i rolniczych. Zgoła wysilajmy jak chcemy dowcip na ulepszenie naszych obyczajów, zawsze będziemy tem, czem będzie druga nasza połowa, czem, mówię, będą kobiety, z któremi żyć, z któremi obowiązki społeczne dzielić przeznaczyła nas opatrzność"... (C. d. n.)

ZA NERONA

POEMAT
STANISŁAWA GRUDZIŃSKIEGO,

HENRYKOWI SIEMIRADZKIEMU
TWÓRCY „POCHODNI CHRZEŚCIAŃSTWA,"
jako wyraz swej czci
składa
Autor.

(Dokończenie).

III.

Gród Romulusa drzemał w mgły osłonie...
Nocne się nad nim rozpostarły cienie...
Czerwony księżyc gdzieś w obłokach drzemie,
Niekiedy krwawe rzucając wejrzenie...
Może się przeląkł tej wielkiej areny,
Na której wpośród dymiącego zgliszcza
Wściekłe szakale, zgłodniałe hyeny
Snują się obok strasznego bożyszcza,
Które świat cały mając pod swą nogą,
Było zniszczeniem i krwią i pożogą!
Niedawno jeszcze płomieniste słupy,
Ponad krwi morzem wzniosły się ku niebu,—
W dymiących gruzach niezliczone trupy
Leżały, darmo czekając pogrzebu...
Miliony jęków leciały w przestworze,
Jak gdyby piekło zstąpiło na ziemię,
A ludzkie nędzne, nieszczęśliwe plemię
Miało pochłonąć wielkie krwawe morze...
I któżby sądził, by te ognie, jęki,
Że ta piekielna katakumba cała,
Mogła być dziełem jednej ludzkiej ręki,
Co w tejże chwili w struny uderzała?
Potem z tej dłoni, na świeżą ruinę
Spadła ulewa kojącego złota,
Hojna zapłata za bole matczyne.
Za tysiąc ofiar ludzkiego żywota,
Za krew i ogień. Potem — trzeba było
Spalić ofiarę nad wielką mogiłą —
I oto krwawy obraz się rozwija —
Obraz męczeństwa! — płoną już ofiary,
A lud z odrazą i wstrętem omija
Galilejczyków, ludzi nowej wiary,
Lud „sermentargów" — cuchnących pożogą,
Od których blady odwraca się z trwogą.
Wśród ciszy nocnej, nad miasta ogromem,
Lecą w powietrzu — widma jakieś — duchy?
Jedne z rozpaczą targają łańcuchy,
Okryte hańbą upadku i sromem,
Inne z promiennem, podniesionem czołem,
Wpatrzone w niebo, gdzie krzyż dla nich błyska,
Tak dążą wszystkie za śmierci aniołem,
A nocy cichej znane ich nazwiska...
Ci pierwsi, nędzy bojąc się niezmiennej,
Dali się porwać piekielnej powodzi,
Lub samowolnie z chybkiej życia łodzi
Skoczyli w otchłań wieczności bezdennej!
Teraz ich wiedzie w nieznajome światy
Płomienny demon nędzy i zatraty.
Ci drudzy, idąc po cierniach żywota,
Żelazo ducha w ogniu hartowali —
Jutrzenka prawdy błysnęła im złota,
Gwiazda przewodnia na wzburzonej fali —
I po zapłatę idą wiarą zbrojni,
Jej siłą mężni, cisi i spokojni.
Miasto zasnęło... o nie! jeszcze czuwa!
Nie zna snu rozkosz i nie zna go nędza,
Kto wątek życia z pracy swej wysnuwa,
Tego opłata cichych marzeń przędza.
Rzym pracy nie zna — on chce tylko użyć —
Więc jedni piani z roskoszy nadmiaru,
Inni spragnieni. Chyba, że z puharu,
Który swym panom już nie może służyć,
Spadnie na motłoch jakaś część napoju, —
Wtedy to wszystko, tratując się wzajem,
Leci jak piana, by czerpać ze zdroju
Który się szczęściem wydaje — i rajem!
Pałac Nerona świeci się wśród zmroku
Tysiącem ogni błyszczących świeczników,
Ucztują tłumy pjanych biesiadników,
I śmiechy słychać wśród gwarów natłoku.
Śmiechy te dźwięczą, jak gdyby odgłosy
Rozbitych dzwonów... jutro może z rana,
Z tych gości będą zimne trupów stosy
Leżeć przed gmachem — i rozśmieszać pana.
Lecz — przebóg! cóż to? — jakiś jęk boleści!
Jęk, w którym życie całe się pomieści,
A głos dziewiczy dźwięczny, pełny, świeży, —
Przebóg! — do kogo taki głos należy?
Jeden raz tylko — i koniec. Tak jęczy
Baranek w paszczy zgłodniałego zwierza,
Jeden raz tylko, lecz jęk ten zaręczy,
Że go męczarnia nie powtórzy świeża.
Raz jeden tylko — i echo zdziwione
Jęk ten rozniosło po ulicach grodu...
Niejedno dziecię krzyknęło zbudzone —
A nie wie matka z jakiego powodu...

IV.

Słońce wyjrzało... gołąb śnieżnopióry,
Gość w krwawej Romie niewidziany prawie,
Przyleciał zkądeś — i gdzie groźne mury
Cezara stoją — usiadł na murawie.
Tam — w śnieżnej także, zbroczonej odzieży,
Postać niewieścia nieruchoma leży.
Czarne jej oczy otwarte, zamglone,
Patrzyły w niebo, jakby zachwycone...
Rozwarte usta, blade jak jesienna
Róża, co więdnie za zimy oddechem,
Jeszcze się smutnym krzywiły uśmiechem,
A cała postać, zdawało się senna,
Na potarganych warkoczy pościeli
Leżała.. Tylko, gdzie łono się bieli,
Jak śnieg, co szczyty Apeninów kryje,
Tam — purpurowa, skrzepła krew się wije,
Jakby kwiat róży rzucony na śniegu.
Na rozrzuconych czarnych włosów brzegu
Biały gołąbek usiadł jak na straży
I patrzył cicho jak ta senna marzy...

V.

W podziemiach cisza... Kaganiec dymiący
Rozświeca ściany chłodnego sklepienia,
A promień jego tajemniczo drżący
Postacie ludzkie wywodzi z pół-cienia
I pokazuje na wilgotnych ścianach
Krzyże po zgasłych w Bogu Chrześcianach.
Liczny już szereg tych krzyżyków czarnych,
Skreślonych dłonią pozostałych braci.
Lecz więcej żywych; — w tych lochach cmentarnych
Więcej przybywa, niżeli się traci.
A wszyscy tacy wygnańcy ze świata,
Choć tajna dola wszystkim przeznaczona,
Wiedzą, że jutro — to wiezienna krata,
Topór lub smoła w ogrodzie Nerona.
Swiatło kagańca rzuca blask na twarze;
Twarze to smutne, blade, lecz spokojne.
Kto był w piekielnym rozpusty pożarze,
Kto dawnym bogom wściekłą wydał wojnę,
I zwyciężywszy w sobie dawną duszę,
Poznał, co znaczą zwątpienia katusze,
Poznał, co znaczy nicość rozpaczliwa,
Taki z radością rzucił się w tę stronę,
Kędy spragnionych ku sobie przyzywa
Głos miłosierdzia — i już z tej przystani
Pewnie do dawnej nie wróci otchłani.
Oni już stoją w górze nad poziomem
Tego bagniska, w którem Roma tonie —
Ich ciała Neron może zburzyć gromem.
Lecz nieśmiertelność przebywa w ich łonie!
Wszakże nie wszyscy tak silni i stali:
Są jeszcze tacy, co płaczą i bledną —
Potędze prawdy pociągnąć się dali,
Lecz głos natury trwogą ich bezwiedną
Wstrząsa niekiedy. Tak dziecię zranione
Lęka się ręki, co mu ranę koi...
Dziwnoż, że młodość konania się boi
I nęcą ciągle te sny — niewyśnione!
— Tam huczy Roma! tam zepsucia morze,
Co nieświadomych pociąga tak mile,
Tu zakopani jak gdyby w mogile,
W postach, modlitwie, trwodze i pokorze...
Duch buntowniczy czoło wznosi hardo,
Płomień zwątpienia znowu się rozżarza,
Lecz jedna chwila u stopni ołtarza
Powraca wiarę i na drogę twardą,
Męczeńską może, znowu daje siły.
Starcy, młodzieńcy, niewiasty i dzieci
Zebrane razem... W każdem oku świeci
Promyczek wiary. — Tu się pochyliły
Głowy pokorne, aż na głaz wilgotny, —
Tu twarz dziewicza w mistycznym zachwycie,
Znać, że duch młody, swobodny i lotny
Buja nad ziemią — wysoko w błękicie!
Cisza — i tylko modlitwy odgłosy,
Jak spadającej z polnych kwiatów rosy,
Lub szmer strumienia, z których duch ofiary
Ginie w głębokim oceanie wiary —
Oto na boku — znać jedna rodzina:
Ojciec i matka, przy nich córka młoda,
A na podłodze malutka dziecina.
Na twarzy starca spokój i pogoda,
Jak stary żołnierz przed ostatnią bitwą,
Krzepił się pełną powagi modlitwą —
I znać, że śmierć, co już niedaleka,
Z męztwem żołnierza obojętnie czeka.
Matka się modli — ale nie za siebie!
Ona gotowa... jej duszy odwaga
Jaśnieje w twarzy, — lecz o dzieci błaga,
O łaskę dla nich prosi Stwórcę w niebie.
I jakby pomnąc, że Zbawiciel świata
Rad błogosławił niesione mu dziatki,
Dziecinę swoję rękami oplata
I patrzy w górę — z cichą prośbą matki.
Córka innemi modli się oczami —
Ogień miłości w tych oczach się żarzy!
Ona chce umrzeć! zgorzeć płomieniami
Miłości świętej, bo ta jej się marzy
Wielką — jak bóstwo, — jak ogień gorącą!
Pójdzie na mękę z twarzą pałającą
Świętym zachwytem! — w prochu się zagrzebie,
Marząc o boskim Oblubieńcu w niebie.
Mała dziecina siedząca przy murze
Stawała czasem na palce, by w górze
Przytulić wargi do krzyżyków czarnych.
Tak się modlili, gdy wszedł starzec siwy,
Kapłan dusz wiernych i modłów ofiarnych,
Pozdrowił braci wspólnej wiary słowem
I rzekł: Najmilsi! Stwórca litościwy
Błogosławieństwem obdarza nas nowem.
Dziś, gdy na modłach trwałem w nocnej porze,
Ujrzałem nagle wielką światła zorzę —
I usłyszałem głos słodki w pobliżu
Pasterza wczoraj zgasłego na krzyżu.
Głos ten mi mówił: „Przed gmachem Nerona
Młoda dzieweczka spi niepogrzebiona...
Idźcie pochować to dziewicze ciało.
Choć chrztu świętego ono nie doznało,
Dusza jej żądzą zbawienia płonęła —
Siostrą jest waszą — i w Bogu zasnęła"
Tłum pokutników ukląknął w pokorze,
Wielbiąc przedziwne miłosierdzie boże,
A starzec kończył:
„Nie z ciała, lecz z ducha
Ochrzcić się trzeba, aby sercem czystem
W miłości wiecznej połączyć się z Chrystem,
Który nie mowy, ale serca słucha..."

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY
PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH
przez
JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.
(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

W którym zobaczymy jak praktyczne natchnienie kapitana Servadac przerwane jest niespodzianem wstrząśnieniem.

Gurbi jest to nic więcej jak drewniana buda, pokryta słomą, którą krajowcy nazywają „driss".

Jestto cokolwiek więcej jak namiot koczowniczych Arabów, ale nierównie mniej, aniżeli pomieszkanie zbudowane z kamieni, lub cegły.

Gurbi zamieszkałe przez kapitana Servadac było właściwie nie więcej jak szałasem i nie wystarczyłoby na potrzeby swych gości, gdyby nie przylegało do dawniejszego posterunku, zbudowanego z kamienia, gdzie mieścił się Ben-Zuf i dwa konie. Posterunek ten był przedtem zajęty przez oddział inżynierów, i zawierał pewną ilość narzędzi takich, jak łopaty, kilofy, tyki i t. d.

Wprawdzie komfort pozostawiał tu wiele do życzenia, ale był to obóz tymczasowy. Zresztą ani kapitan, ani jego ordynans nie przebierali w pożywieniu i lokalu.

— Cokowiek filozofii i dobry żołądek, powtarzał Hektor Servadac, a dobrze będzie wszędzie.

Owoż filozofia, to jak kieszonkowa moneta u Gaskończyka, ma on ją zawsze w swym worku, a co do żołądka, to wszystka woda Garonny mogła przepłynąć przez niego nie zaspokoiwszy ani na chwilę.

Co do Ben-Zufa, to przypuściwszy przesiedlanie się dusz, musiał on być strusiem za poprzedniego istnienia; zachował bowiem jego fenomenalne wnętrzności o potężnym soku gastrycznym, który trawi krzemienie jak mięso kurcząt.

Należy zauważyć, że gospodarze w gurbi zaopatrzeni byli w żywność na miesiąc, że w cysternie mieli wodę do picia w obfitości, że furaż zapełniał strych stajni i że oprócz tego część płaszczyzny między Tenez i Mostaganem, szczególnie urodzajna, może współzawodniczyć z bogatemi polami Mitydży. Zwierzyna nie była tam rzadką; oficerowi zaś sztabu głównego nie jest wzbronione mieć z sobą strzelbę myśliwską podczas wycieczek, jeżeli tylko nie zapomniał mierniczych swoich przyborów.

Kapitan Servadac, powróciwszy do gurbi, zjadł obiad z apetytem wielce zaostrzonym przejażdżką. Ben-Zuf umiał bardzo dobrze gotować. Z nim nie było co obawiać się mdłych preparatów. Solił on, pieprzył i dolewał octu po militarnemu. Ale, jak powiedziano, miał do czynienia z dwoma żołądkami, nie dbającymi o największe zaostrzenie przyprawy i niedostępnymi dla gastralgii.

Po obiedzie, podczas gdy ordynans skrzętnie chował resztki jadła w tem, co nazywał swoją „szafą żołądkową,“ kapitan Servadac wyszedł z gurbi na wybrzeże z cygarem.

Noc poczynała zapadać. Słońce znikło przeszło od godziny po za gęstemi chmurami, za horyzontem, który równina przecinała po za Chelifem. Niebo przedstawiało wówczas widok szczególny, na któryby nie bez pewnego zdziwienia spoglądał każden spostrzegacz fenomenów kosmicznych. W samej rzeczy od północy, pomimo że ciemność była już dość głęboka, by ograniczyć donïosłość wzroku na promień półkilometrowy, pewien rodzaj czerwonawego światła zabarwiał wyższe pokłady mgły w atmosferze. Nie było widać ani wycięć regularnych ani promieniowania światła od jakiegokolwiek jaśniejącego punktu. Nic zatem nie zapowiadało ukazania się jakiej zorzy północnej, której świetność zresztą rozpościerała się tylko na przestrzeniach nieba wzniesionych na wyższą szerokość. Trudno by zatem było meteorologiście powiedzieć jakiemu fenomenowi zawdzięczać należy tę pyszną iluminacyę ostatniej nocy roku.

Ale kapitan Servadac nie był meteorologiem. Od wyjścia ze szkół, można powiedzieć, iż nigdy nie wtykał nosa w *kurs kosmografii*. Zresztą tego wieczora czuł się mało usposobionym do obserwania sfery niebieskiej. Przechadzał się, palił cygaro. Czy myślał o tem spotkaniu, które na drugi dzień rano miało go postawić oko w oko z hrabią Timaszewem? W każdym razie jeżeli myśl ta przelatywała mu czasami przez głowę, to nie oburzała go więcej, aniżeli wypadało na hrabiego. Przyznać trzeba, że dwaj przeciwnicy nie czuli ku sobie nienawiści, chociaż byli rywalami. Chodziło poprostu o wyrównanie sytuacyi, w której jeden z nich był zanadto. To też Hektor Servadac poczytywał hrabiego Timaszewa za człowieka bardzo porządnego, a hrabia ze swojej strony miał wielki szacunek dla oficera.

O godzinie ósmej wieczorem kapitan Servadac wszedł do jedynego pokoju w gurbi, gdzie znajdowało się jego łóżko, niewielki stolik do rysunku i kilka pak, służących za szafy. Kuchenną czynność wykonywał ordynans nie w gurbi, ale w sąsiednim posterunku i tam też sypiał na ławie, jak się wyrażał, z „rdzennego dębu“. Nie przeszkadzało mu to jednak spać dwanaście godzin z rzędu. Pod tym względem niewieluby ustąpił.

Kapitan Servadac, nie bardzo sennością naglony, usiadł przy stole, na którym porozkładane były rozmaite instrumenta. Machinalnie wziął w rękę ołówek czerwony i szafirowy, a w drugą cyrkiel. Potem na kalkowym papierze począł kreślić linie kolorowe i nierówne, w niczem nie przypominające surowego rysunku topograficznego.

Przez ten czas Ben-Zuf, który nie otrzymał jeszcze rozkazu by szedł spać, wyciągnąwszy się w jednym kącie, próbował drzemać, co niełatwem było z powodu szczególnej niespokojności kapitana.

Bo też nie oficer sztabu głównego, ale gaskoński poeta, siedział przy roboczym stole. Tak jest! Hektor Servadac wysilał się w najlepsze! Zawziął się on na owo rondo, wzywając natchnienia, które okrutnie prosić się kazało. Czy machał cyrklem by nadać swym wierszom miarę ściśle matematyczną? Czy kolorowego ołówka używał dla tego by bardziej urozmaicać buntownicze rymy? Tak możnaby przypuszczać. W każdym razie robota była mozolna.

— Eh, do licha! zawołał, dlaczego wybrałem tę formę czterowierszową, która zmusza do ściągania rymów jak żołnierzy uciekających podczas bitwy? Ale do wszystkich szatanów! będę walczył! nie będzie powiedziano, że oficer francuski cofnął się przed rymami. Utwór wierszowany, to jak batalion! Pierwsza kompania już wystąpiła!... Chciał powiedzieć pierwszy czterowiersz — naprzód inne!

Rymy tak naciskane, stawiły się nakoniec do apelu, bo następujące czerwone i niebieskie wiersze wydłużały się na papierze:

> Słów ułożonych w wykwintne zdania
> Czyliż potrzeba:

— Co tam u licha mruczy mój kapitan? zapytał sam siebie Ben-Zuf, wijąc się w kącie. Już godzinę kręci się jak kaczka w przerębłu.

Hektor Servadac szybkiemi krokami wymierzał gurbi w całym zapale poetycznego natchnienia:

> I czy naprawdę droga gadania
> Wiedzie do nieba?

— Niezawodnie komponuje wiersze! powiedział znowu sam do siebie Ben-Zuf, wyciągając się w kącie. A to hałaśliwe rzemiosło! Zasnąć nie można!

I głucho mruknął.

— Co ci jest, Ben-Zuf? — zapytał kapitan.

— Nic, panie kapitanie. Coś mi się przyśniło.

— Niech cię licho porwie!

— Choćby zaraz, mruknął Ben-Zuf, byle to licho nie robiło wierszy.

— Niedźwiedź ten popsuł mi natchnienie? — zawołał kapitan Servadac. Ben-Zuf!

— Jestem panie kapitanie! — odrzekł ordynans, — wstając i podnosząc jednę rękę do czoła, a drugą wyciągając wzdłuż spodni.

— Nie ruszaj się, Ben-Zuf nie ruszaj się! Mam przynajmniej zakończenie ronda!

I natchniony Hektor Servadac wygłosił z poetycznym ruchem:

> Zawierz mojej czułości!
> Ja ci przysięgam
> Być ci wiernym w miłości
> Ażeby...

Zaledwie ostatni ten wyraz został wymówiony, gdy kapitan i Ben-Zuf rzuceni zostali twarzami o ziemię z niesłychaną gwałtownością.

ROZDZIAŁ IV.

Pozwalający czytelnikowi mnożyć w nieskończoność wykrzykniki i znaki zapytania.

Dlaczego w tej ostatniej chwili horyzont zmienił się tak dziwnie i nagle, że nawet wprawne oko marynarza nie zdołałoby rozróżnić lini, przy której niebo łączy się z wodą?

Dlaczego morze wznosiło wtedy swe fale na wysokość, jakiej uczeni dotąd nie przypuszczali?

Dlaczego przy trzasku pękającego gruntu dawał się słyszeć straszliwy huk, złożony z rozmaitych dźwięków, jak skrzypienie, spowodowane gwałtownem rozrywaniem się posad kuli ziemskiej, ryk wód rozbijających się w nienormalnych głębiach, świst powietrza jak podczas cyklonu?

Dlaczego w przestrzeni ta niezwykła jasność, silniejsza aniżeli promieniowanie zorzy północnej, jasność, która zaległa firmament i na chwilę przyciemniła gwiazdy wszystkich wielkości?

Dlaczego kotlina Śródziemnego morza, która zdawała się wypróżniać na chwilę, znowu zapełniała się wodą dziwnie rozszalałą?

Dlaczego tarcza księżyca zdawała się zwiększać niepomiernie, jak gdyby w ciągu kilku minut to światło nocne przybliżyło się z odległości dziewięćdziesięciu sześciu tysięcy mil, na dziesięć tysięcy?

Dlaczego wreszcie nowy sferoid ogromny, nieznany kosmografom, ukazał się na firmamencie, aby wkrótce zniknąć za gęstym pokładem chmur.

Nakoniec jaki dziwny fenomen spowodował ten kataklizm, który tak głęboko wstrząsnął ziemią, morzem, niebem, całą przestrzenią?

Kto to mógł objaśnić? i czy pozostał choć jeden z mieszkańców kuli ziemskiej, by odpowiedzieć na te pytania?

ROZDZIAŁ V.

W którym jest mowa o niektórych zmianach w porządku fizycznym, chociaż niepodobna wskazać tego przyczyny

Jednak zdawało się, że żadna zmiana nie zaszła w części wybrzeży algierskich, ograniczonych od zachodu prawym brzegiem Chelifu a od północy morzem Śródziemnem. Chociaż wstrząśnienie było bardzo gwałtownem, ani na tej żyznej równinie, która tylko może pogarbiła się gdzie niegdzie, ani na krętej linii brzegu, ani na morzu, które miotało się niepomiernie, nic nie wskazywało, aby jaka modyfikacya oddziałała na powierzchowność fizyczną. Kamienny posterunek, wyjąwszy muru, który w kilku miejscach popękał, oparł się należycie. Gurbi tylko spłaszczyło się jak domek z kart przy podmuchu dziecięcia, a dwaj jego mieszkańcy leżeli bez ruchu pod zwaloną chatą.

Dopiero we dwie godziny po katastrofie kapitan Servadac przyszedł do przytomności. Zrazu trudno mu było zebrać myśli, ale pierwszemi wyrazami, które wymówił — nie zdziwi to nikogo — były ostatnie wyrazy owego sławnego ronda, tak nadzwyczajnie przerwanego:

Być ci wiernym w miłości,
Ażeby...

Potem dodał prędko:

— A co to się stało?

Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. Więc podniosłszy rękę, począł rozgartywać słomę i wkrótce głowa jego ukazała się.

Naprzód spojrzał do koła.

— Gurbi zwaliło się! zawołał. Zapewne trąba powietrzna przechodziła wybrzeżem.

Począł dotykać części własnego ciała: ani jednego stłuczenia, ani nawet zadraśnięcia.

— Do licha! a mój ordynans!

Wstał, potem krzyknął:

— Ben Zuf!

Na głos kapitana Servadac druga głowa wysunęła się z pomiędzy słomy.

— Jestem, panie kapitanie! — odrzekł Ben-Zuf — i stanął w militarnej pozycyi.

— Czy masz jakie wyobrażenie o tem co się stało, Ben-Zuf? — zapytał kapitan.

— Mam takie wyobrażenie, panie kapitanie, że bodaj czy nie dochodzimy do ostatniego etapu.

— Ba! Trąba powietrzna, Ben-Zuf, prosta trąba.

— Niech będzie trąba, odparł filozoficznie ordynans. Czy pan kapitan nic sobie nie stłukł partykularnie?

— Nie.

Po chwili oba wstali, usunęli słomę z gurbi, odszukali instrumenta, rzeczy, narzędzia i broń, prawie nietknięte, a oficer sztabu głównego zapytał:

Która też godzina?

— Najmniej ósma — odrzekł Ben-Zuf, spoglądając na słońce, znacznie podniesione nad horyzontem.

— Ósma?

— Najmniej, panie kapitanie.

— Czy być może?

— Tak jest — trzeba iść!

— Iść? dokąd?

— Na nasze spotkanie.

— Jakie spotkanie?

— Spotkanie z hrabią...

— A, do licha! — zawołał kapitan — zapomniałem.

A dobywszy zegarek — dodał:

— Ale co ty mówisz, Ben-Zuf? oszalałeś! Jest zaledwie druga.

— Druga zrana, czy druga popołudniu? — odparł Ben-Zuf, spoglądając na słońce.

Hektor Servadac przyłożył zegarek do ucha.

— Zegarek idzie — powiedział.

— I słońce, także — odparł ordynans.

— W samej rzeczy, wnosząc z jego wzniesienia nad horyzontem... A! do wszystkich fur beczek!...

— Co takiego, panie kapitanie?

— Czyż miałaby być ósma godzina wieczorem?

— Tak jest! Słońce znajduje się na zachodzie; widocznie, iż wkrótce zajdzie.

— Zajdzie? O, nie, panie kapitanie, — odrzekł Ben-Zuf, — wznosi się ono należycie!... O! patrz pan! Od czasu jak rozmawiamy, jak się wysunęło!

— Więc teraz słońce miałoby wschodzić na zachodzie! mruknął kapitan Servadac. No, no! to rzecz niemożebna!

Jednak niepodobna było zaprzeczyć faktowi. Promieniste słońce ukazawszy się nad wodami Chelifu, przebiegało teraz horyzont zachodni, po którym kreśliło dotąd drugą połowę swego dziennego łuku.

Hektor Servadac z łatwością zrozumiał, że fenomen niesłychany, w każdym razie nie dający wyjaśnić się, zmodyfikował nie położenie słońca w świecie gwiazdzistym, ale sam kierunek obrotu ziemi na jej osi.

Możnaby było stracić głowę. Czyż podobna by mogło niemożebne stać się rzeczywistem? Gdyby kapitan Servadac miał pod ręką jakiego członka komisyi astronomicznej, próbowałby zasięgnąć u niego informacyi ale najzupełniej pozostawiony sam sobie, powiedział tylko:

— Ha! to należy do astronomów! Zobaczymy za jaki tydzień, co o tem powiedzą w dziennikach.

Potem, nie zastanawiając się dłużej nad wyszukiwaniem przyczyn tego dziwnego fenomenu, rzekł do swego ordynansa:

— W drogę! Niech dzieje się co chce, niech nawet wywróci się do góry nogami cała niebieska mechanika, ja muszę przybyć pierwszy na plac pojedynku i zrobić hrabiemu Timaszew zaszczyt...

— Wsadzenia go na rożen, dodał Ben-Zuf.

Gdyby Hektor Servadac i ordynans jego byli w usposobieniu obserwowania zmian fizycznych, jakie zaszły nagle tej nocy z 31. grud. na 1. stycznia, to zestawiwszy te zmiany z pozornym ruchem słońca, byliby niezawodnie bardzo zdziwieni niesłychaną zmianą, jaka zaszła w warunkach atmosferycznych. Bo w samej rzeczy, poczynając od nich samych: byli zadyszani, zmuszeni do częstego oddychania, jak się to wydarza wchodzącym na wysoką górę, jak gdyby otaczające ich powietrze było mniej gęste, i co za tem idzie, mniej nasycone. Oprócz tego głos ich był słabszy. Więc z dwóch rzeczy jedna: albo zostali porażeni połowiczną głuchotą, albo też wypadało przypuścić, iż powietrze nagle stało się mniej nadającem do przenoszenia dźwięków.

Ale te fizyczne zmiany nie wywarły w tej chwili wrażenia ani na kapitana Servadac, ani na Ben-Zufa i oba poszli stromą nadbrzeżną ścieżką ku Chelifowi.

Pogoda, pochmurna wczoraj, teraz zupełnie zmieniła się. Niebo, szczególnie zabarwione, a które rychło pokryło się bardzo niskiemi chmurami, nie dozwalało teraz widzieć promienistego łuku, jaki zakreślało słońce od jednego horyzontu do drugiego. W powietrzu jakby leżała groźba potopowego deszczu, jeżeli nie straszliwej burzy. Wszakże wyziewy te, z braku należytego zgęszczenia, nie zdołały skroplić się.

Morze po raz pierwszy w tej stronie zdawało się zupełnie pustem. Ani jednego żagla, ani obłoczka dymu na szarawem tle nieba i wody. Co do horyzontu — byłoż to optycznem złudzeniem — to ten zdawał się być nadzwyczajnie zbliżonym, tak morski, jak i ten, który zakreślał równinę nadbrzeżną. Zdawało się, że wypukłość kuli więcej się zaostrzyła.

Kapitan Servadac i Ben-Zuf, idąc szybkim krokiem, nie mówiąc ani słowa, musieli rychło ujść pięć kilometrów oddzielających gurbi od miejsca spotkania. Tego poranku jeden i drugi mógł dostrzedz, że fizyologicznie był uorganizowany zupełnie odmiennie. Nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, oba czuli szczególną lekkość w ciele, jak gdyby mieli u nóg skrzydła. Gdyby ordynans chciał wyformułować swą myśl, to powiedziałby, że stał się „czemści innem“.

— Nie licząc tego, że zapomnieliśmy przekąsić, mruknął.

A przyznać trzeba, że tego rodzaju napomknienie nie było w zwyczaju dzielnego żołnierza.

W tej chwili rodzaj niemiłego szczekania dał się słyszeć na lewo od ścieżki i prawie jednocześnie szakal wyskoczył z leśnej gęstwiny. Zwierzę to należało do szczególnego gatunku fauny afrykańskiej; miało skórę regularnie centkowaną czarnemi plamami, a pręga, również czarna, szła mu przez grzbiet.

Szakal może być niebezpiecznym w nocy, gdy w stadzie wychodzi na żer. Sam jeden nie jest niebezpieczniejszy od psa. Ben-Zuf nie był z tych, którzy przestraszyliby się szakala, ale Ben-Zuf nie lubił tych zwierząt, być może dlatego, iż nie było żadnego ich specyalnego gatunku na Mont-martre.

Zwierz, wyskoczywszy z gęstwiny, przysiadł pod skałą, mającą najmniej dziesięć metrów wysokości i z widocznym niepokojem spoglądał na przechodzących. Ben-Zuf zrobił taką minę jakby do niego mierzył. Na ten groźny ruch, zwierz, ku głębokiemu zdumieniu kapitana i jego ordynansa, zerwał się i w jednym podskoku był na szczycie skały.

— A to skok! zawołał Ben-Zuf; na trzydzieści stóp z dołu do góry!

— Prawda! — odrzekł kapitan. Servadac w zamyśleniu. Nigdy nie widziałem podobnego skoku!

Szakal, znalazłszy się na skale, i usiadłszy, drwiąco spoglądał na obu. Więc Ben-Zuf schwycił za kamieni by go spędzić.

Kamień był bardzo wielki, a jednak w ręku ordynansa ważył nie więcej, jak skamieniała gąbka.

— Szatański szakal! — rzekł sam do siebie Ben-Zuf, ten kamień zrobi mu tyle złego, co bułka! Ale dlaczego on jest wielki i zarazem tak lekki?

Nie mając jednak nic innego pod ręką rzucił z całą siłą ową bułką.

Szakala chybił. Ale ponieważ czyn Ben-Zufa znamionował zamiary niezbyt przyjacielskie, więc ostrożny zwierz ratował się ucieczką, skacząc

przez drzewa i krzaki i wkrótce znikł z oczu w podskokach, jak piłka z gumy elastycznej.

Co do kamienia, to ten, zamiast uderzyć w cel zamierzony, opisał bardzo wielki łuk ku wielkiemu zdumieniu Ben-Zufa i upadł o jakie pięćset kroków po za skałą.

— A, do wszystkich Beduinów! — zawołał ordynans, teraz mógłbym dać fory czterofuntowemu moździerzowi!

Ben-Zuf znajdował się wtedy o kilka metrów przed swoim kapitanem, koło rowu napełnionego wodą i szerokiego na dziesięć stóp, który trzeba było przebyć. Rozpędził się więc i skoczył jak gimnastyk.

— A to co, Ben Zuf co robisz? Co ci przyszło do głowy? kark skręcisz, waryacie!

Wyrazy te nagle wyrwały się z ust kapitana Servadac, wywołane sytuacyą ordynansa, który w tej chwili znajdował się w powietrzu o jakie czternaście stóp nad ziemią.

Hektor Servadac, na myśl o niebezpieczeństwie na jakie Ben-Zuf mógł się narazić padając, rzucił się również by przeskoczyć rów; ale muszkularne wysilenie, jakie zrobił, podniosło go samego najmniej na trzydzieści stóp. Wzlatując w górę rozminął się nawet ze spadającym Ben-Zufem. Potem, ulegając prawu ciężkości, spadł na ziemię ze wzrastającą szybkością, ale nie doznawszy większego wstrząśnienia, jak gdyby spadał z wysokości czterech lub pięciu stóp.

— A! zawołał Ben-zuf, czyżbyśmy się przemienili w klownów, panie kapitanie?

Hektor Servadac po kilku chwilach zastanowienia podszedł ku swemu ordynansowi i położywszy mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Nie odlatuj, Ben-Zuf i popatrz na mnie z uwagą! Nie przebudziłem się; przebudź mnie, uszczypnij mnie do krwi! Albo oszaleliśmy, albo marzymy we śnie!

— Prawdę powiedziawszy, panie kapitanie, odrzekł Ben-Zuf, to takie rzeczy nigdy mi się nie wydarzały, chyba we śnie, gdy mi się roiło, że jestem jaskółką i przelatuję przez Montmartre. Wszystko to jest nie naturalne! Coś nam się wydarzyło, ale to coś takiego, co się nie wydarzyło nikomu! Czy takie wypadki są właściwością wybrzeży algierskich?

Hektor Servadac pogrążył się w rodzaj osłupienia.

— A to można oszaleć! — zawołał. Nie śpimy, nie marzymy!...

Ale nie był człowiekiem, któryby wiecznie namyślał się nad tem zadaniem, bardzo trudnem do rozwiązania w obecnych okolicznościach.

— Zresztą, niech się dzieje co chce! zawołał, postanowiwszy nie dziwić się odtąd niczemu.

— Tak jest, panie kapitanie — odrzekł Ben-Zuf, a przedewszystkiem skończmy naszą sprawę z hrabią.

Po za rowem znajdowała się niewielka łąka, rozciągająca się na pół hektara, porosła większą trawą, a której piękne ramy tworzyły drzewa zasadzone przed kilkudziesięciu laty: dęby, palmy, sykomory, poprzedzielane kaktusami i aloesami, nad którymi wznosiły się trzy wielkie eucalyptusy.

Był to właśnie plac, na którym miało się odbyć spotkanie dwóch przeciwników.

Hektor Servadac szybko powiódł wzrokiem po łące. Potem, nie widząc nikogo, zawołał:

— Do licha! w każdym razie przybyliśmy pierwsi!

— Albo ostatni! — dorzucił Ben-Zuf.

— Jak to? ostatni? — Ależ nie ma jeszcze dziewiątej, odrzekł kapitan Servadac, wyjmując zegarek, który uregulował według słońca przed wyjściem z gurbi.

— Panie kapitanie — zapytał ordynans — czy widzi pan kapitan tę kulę białawą pomiędzy chmurami?

— Widzę — odrzekł kapitan, spojrzawszy na krąg mocno mgłą osłonięty, w tej chwili ukazujący się na zenicie.

— Otóż, zaczął znowu Ben-Zuf, — ta kula to nie może być nic innego, jak słońce, lub jego zastępca!

— Słońce w zenicie, w styczniu i pod trzydziestym dziewiątym stopniem szerokości północnej? zawołał Hektor Servadac.

— Ono samo, panie kapitanie — i należycie wskazuje południe, jeżeli pan pozwoli. Zdaje się, że dziś było mu śpieszno i stawiam moje kepi na przeciw wazki zupy, że zajdzie nim upłynie trzy godziny!

Hektor Servadac stał przez chwilę ze skrzyżowanemi rękami nieruchomy. Potem, wykręciwszy się na jednem miejscu, co mu pozwoliło rozpatrzeć rozliczne punkta horyzontu, mruknął:

— Prawa ciężkości zmodyfikowane! kardynalne punkta zmienione, długość dnia zmniejszona o połowę!... Wszystko to może nieskończenie opóźnić spotkanie moje z hrabią Timaszewem! Coś jest! Przecież u licha, ani mnie, ani Ben-Zufa rozum nie opuścił!

Obojętny Ben-Zuf, z którego najdziwniejsze fenomena kosmiczne nie wyrwałyby żadnego wykrzyknika, spokojnie patrzał na oficera.

— Ben-Zuf! — zawołał kapitan.

— Jestem — panie kapitanie.

— Nikogo nie widzisz?

— Nikogo. Nasz hrabia odjechał.

— Przypuściwszy że odjechał, w każdym razie moi sekundanci zostaliby i czekali na mnie; a nie widząc przybywającego, nie omieszkaliby dojść aż do gurbi.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Wnoszę więc, że nie przybyli.

— A jeżeli nie przybyli...

— To najpewniej dlatego, że przybyć nie mogli. Co do hrabiego.

Zamiast kończyć frazes, kapitan Servadac przybliżył się ku skalistemu wzniesieniu panującemu nad wybrzeżem i popatrzył, czy nie było widać galioty *Dobryna* o jakie kilka węzłów. Bo zresztą mógł hrabia Timaszew przybyć na spotkanie morzem, tak jak zrobił wczoraj.

Morze było puste i po raz pierwszy kapitan Servadac zauważył, że chociaż panowała zupełna cisza, było nadzwyczajnie wzburzone, jak woda na wielki ogień nalana. Rozumie się, że galiota z trudnością utrzymałaby się na takich anormalnych falach.

Oprócz tego, i także po raz pierwszy, Hektor Servadac zauważył ze zdumieniem jak bardzo zmniejszył się promień obwodu, na którym niebo stykało się z wodą.

W samej rzeczy dla spostrzegacza umieszczonego na szczycie wysokiej skały linia horyzontu powinnaby być usuniętą na odległość czterdziestu kilometrów. Tu wzrok obejmował najwięcej dziesięć kilometrów, jak gdyby objętość sferoidu ziemskiego znacznie zmniejszyła się od kilku godzin.

— Wszystko to jest zanadto dziwne! — rzekł oficer sztabu głównego.

Przez ten czas Ben-Zuf zwinny jak najzwinniejsze ze stworzeń czwororęcznych, wgramolił się na szczyt eucalyptusa. Z tego wyniosłego punktu obserwował on ląd stały tak w kierunku Tenez i Mostaganem jak i w części południowej. Potem, zszedłszy, mógł stanowczo oświadczyć kapitanowi, że okolica była zupełnie pustą.

— Do Chelifu! — rzekł Hektor Servadac.— Ruszajmy ku rzece! Tam może dowiemy się co o tem wszystkiem sądzić.

— Chodźmy! — odrzekł Ben Zuf.

Najwięcej trzy kilometry oddzielało łąkę od rzeki, którą kapitan Servadac zamierzał przebyć, aby następnie dostać się do Mostaganem. A musiał spieszyć, jeżeli chciał dostać się do miasta jeszcze za dnia. Przez gęsty pokład chmur czuć było, że słońce schyla się bardzo bystro i — szczególność nie dająca się wyjaśnić obok tylu innych — zamiast zakreślać łuk pochyły, jakiego wymagała jeograficzna szerokość Algieryi w tej porze roku, spadało prostopadle za horyzont.

Idąc, kapitan Servadac rozmyślał nad wszystkimi temi dziwami. Jeżeli wskutek jakiegoś niesłychanego fenomenu ruch rotacyjny kuli ziemskiej został zmodyfikowany, jeżeli, zważywszy na przejścia słońca przez zenit należało przypuszczać, że brzegi algierskie przeniesione zostały po za równik na półsferze południowe, to nie zdawało się, by ziemia doznała jakichkolwiek ważniejszych modyfikacyi, przynajmniej w tej części Afryki. Wybrzeże było tem co zawsze: szeregiem skał, kamieni i dzikich czerwonych odłamów, jakby żelazistych. Jak okiem zasięgnąć, żadnej zmiany. Żadna modyfikacya nie ukazywała się na lewo, ku południowi, lub przynajmniej ku temu, co kapitan Servadac upierał się nazywać południem, chociaż pozycya obu punktów kardynalnych widocznie zmieniła się, bo trzeba było teraz ustąpić wobec rzeczywistości.

W odległości około trzech mil ukazywały się pierwsze odstępy gór Mejejah, a linia ich szczytów zakreślała na horyzoncie zwykły swój profil.

W tej chwili zrobił się otwór wśród chmur i promienie słońca dosięgły ziemi. Widocznem było, że promienna ta gwiazda wszedłszy na zachodzie, zajdzie na wschodzie.

— Do licha! — zawołał kapitan Servadac — ciekawy jestem co myślą o tem wszystkiem w Mostaganem! Co powie minister wojny, gdy dowie się z telegramu, że jego afrykańska kolonia jest zdezorientowana pod względem fizycznym, jak nigdy nie była pod względem moralnym.

— Całą afrykańską kolonię — odrzekł Ben-Zuf — zapakuje do kozy.

— I że punkta kardynalne zupełnie nie zgadzają się z regulaminem wojskowym?

— Punkta kardynalne pójdą do kompanii poprawczej.

— I że w miesiącu styczniu słońce uderza mnie prostopadle swemi promieniami.

— Uderza oficera! Rozstrzelać słońce!

O! Ben-Zuf znał dyscyplinę!

Jednak i on i Hektor Servadac spieszyli ile mogli. Dzięki nadzwyczajnej lekkości specyficznej, przywykłszy już do tego ciśnienia powietrza, które kazało im częściej oddychać, biegli jak zające, skakali jak kozy. Nie szli już ścieżką wijącą się po szczytach skał, a której zakręty przedłużyłyby ich wędrówkę. Szli drogą najkrótszą — najprostszą. Żadna przeszkoda nie mogła ich zatrzymać. Był płot, to go przeskakiwali, strumienie tak samo, drzewa również; pagórki przelatywali. W takich warunkach Ben-Zuf mógłby jednym

podskokiem przelecieć Montmartre. Zaledwie dotykali ziemi, która zdawała się być nie więcej jak trampolinem niezmiernej elastyczności.

Nakoniec ukazały się brzegi Chelifu i w kilku podskokach kapitan i jego ordynans znaleźli się przy nich.

Ale tam zmuszeni byli zatrzymać się. Mostu nie było.

— Nie ma mostu! — zawołał kapitan Servadac. — Więc musiała tu być powódź!

— Ba! — odrzekł Ben-Zuf.

A jednak było czemu dziwić się.

W samej rzeczy, Chelif znikł. Lewego brzegu nie było ani śladu. Prawy, który dniem przedtem zarysowywał się na urodzajnej dolinie, stał się wybrzeżem. Na zachodzie fale huczące, a nie szemrzące, niebieskie a nie żółte, jak okiem zajrzeć zaległy przestworze. Jak gdyby morze zastąpiło rzekę. Tu teraz kończyła się okolica, wczoraj jeszcze stanowiąca terytoryum Mostaganemu.

Hektor Servadac chciał się przekonać należycie. Przybliżył się do brzegu ukrytego w gęstwinie oleandrów, zaczerpnął wodę ręką i poniósł do ust.

— Słona! — powiedział. W kilka godzin morze pochłonęło część Afryki!

— A więc, panie kapitanie, będzie to zapewne trwać dłużej aniżeli prosta powódź.

— Świat się przemienił — odrzekł oficer sztabu głównego, zwieszając głowę; — kataklizm ten może mieć wyniki nieobliczone! Moi przyjaciele, koledzy! co się z wami stało?

Ben-Zuf nigdy jeszcze nie widział kapitana tak głęboko wzruszonym. Ułożył więc twarz swoję według jego twarzy, chociaż mniej jeszcze aniżeli on pojmował co zaszło. Przyjąłby nawet wszystko filozoficznie, gdyby podzielanie uczuć kapitana nie było jego militarnym obowiązkiem.

Nowe wybrzeże, zarysowane dawniejszym prawym brzegiem Chelifu, ciągnęło się ku północy i południowi, po linii nieco zaokrąglonej. Zdawało się, że kataklizm, którego widownią była ta część Afryki, bynajmniej go nie dotknął. Pozostawał on takim, jak zdjęty był na mapę topograficzną, z bukietami wielkich drzew, kapryśnemi zagłębieniami i zielonym kobiercem łąk. Tylko że zamiast brzegu rzeki, tworzył teraz wybrzeże nieznanego morza.

Ale kapitan Servadac, który teraz bardzo spoważniał, zaledwie miał czas obserwować zmiany, jakie zaszły w powierzchowności tej okolicy. Promienista gwiazda doszedłszy do zachodniego horyzontu, nagle, jak kula, wpadła w morze. Pod zwrotnikiem w dniu 21. września lub 21. marca, to jest w czasie gdy słońce przecina ekliptykę, przejście od dnia do nocy nie spełniłoby się tak szybko. Tego wieczora nie było zmierzchu, a prawdopodobnie jutro nie będzie świtania. Ziemię, morze, niebo, wszystko nagle ogarnęły ciemności.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Czy będzie Polska? napisał Warszawiak. 8ka, str 18, Lwów, 1877. Nakład Autora.

Jestto właściwie odpowiedź na głosy liberałów moskiewskich w sprawie polskiej. Autor odrzuca wszelkie podane przez nich sposoby załatwienia sprawy polskiej przez Moskali i wyraża przekonanie, że sprawa polska załatwioną zostanie przez Austryaków. Zapewne, że nie można utrzymać zimnej krwi na wspomnienie o okrucieństwach dokonanych i dokonywanych co dzień przez Moskali w Polsce, pojmujemy więc oburzenie i namiętne wyrażenia autora, gdy przedmiot ten traktuje, wszakże wolelibyśmy zestawienie faktów, bodaj niektórych, bodaj z jednego dnia aniżeli ogólnikowe frazesa, gdyż frazesa zawsze są za słabe do odmalowania tak olbrzymich zbrodni i nie są przekonywającemi. Ci panowie, którzy może nawet w dobrej wierze podnieśli głos w sprawie polskiej stoją na zupełnie fałszywem, moskiewskiem stanowisku. Mówiąc o krzywdzie, jaką ich naród wyrządził Polsce nietylko nie mają na myśli powetowania strat wyrządzonych, zaskarbienia sobie względów polskich, o które im idzie, ale chcąc zgody jeszcze chcieliby coś ukraść. Przedmiot to jest za obszerny, abyśmy na tem miejscu dłużej o nim mówić mieli. Wracamy do broszury *Czy będzie Polska?* i odpowiadamy autorowi, że Polski tak długo nie będzie, jak długo będziemy liczyli na to, że ją nam Moskale, Hiszpanie, Japończycy, Prusacy czy Austryacy zbudują. Jeszcze żaden naród nie powstał bez samodzielnej własnej pracy Odrywanie od pracy, wskazywanie na kogoś, że za nas zrobi, jest najgorszą usługą jaką można krajowi oddać.

Trzymać lud polski w ciemnocie i nędzy, pozbawiać kraj dobrowolnie milionów obywateli i chcieć zarazem, aby ktoś Polskę budował, jestto strzelać na wiatr.

A. D.

Lwów w roku 1809. Ustąpienie Austryaków. Zajęcie przez siedmnastu żołnierzy polskich. Moskiewskie rządy. Opowieść dziejowa. spisana na podstawie pamiętnika naocznego świadka, gazet, notatek i dokumentów przez Stanisława Kunasiewicza We Lwowie. Nakładem Karola Wilda, 1878.

Myli się p. Kunasiewicz, mniemając, iż wypisy z książek, pamiętnika Festenburga, gazet, notatek i dokumentów same przez się składają już opowieść dziejową. Zdaje się, iż objawiała się u niego samego pod tym względem wątpliwość, gdyż w jednem miejscu wypowiada, że pragnie w „całe mnóstwo domowych naszych nieboszczyków tchnąć (?) na nowo wzrok, słuch i mowę, ażeby znów mogli popatrzeć, poruszać się i pożyć po dawnemu.“ Zaiste, bardzo miłosierne dla nieboszczyków pragnienie: Dla nas wystarczyłoby, gdyby przynajmniej wybitniejsze osoby, występujące w opowieści p. Kunasiewicza, *przedstawione* były jak żywe. Autor lepiejby zrobił, gdyby przetłumaczył osobno pamiętnik Festenburga, a osobno umieścił wypisy z innych dokumentów, uzupełniające ten pamiętnik; byłoby to wydanie materyału historycznego. Obecnie pamiętnik Festenburga, tłumaczenie którego — podług słów samego p. Kunasiewicza — jest główną składową częścią jego opowieści, — utonął wśród powodzi wypisów rozmaitych.

B. L.

(*Dążności rosyjskie prof. Stan. hr. Tarnowskiego. 8ka, str. 58. Lwów, 1877. Cena 30 ct. Nakładem drukarni ludowej.*)

Jak z tytułu już wnosić można, autor położył sobie za zadanie obronę p. Tarnowskiego przed zarzutami, jakie w dziennikarstwie lwowskiem i ze strony publiczności lwowskiej zrobione mu zostały. Zarzuty te są: Pan Tarnowski należy do pewnej koteryi w kraju znanej pod nazwą Stańczyków, w koteryi tej p. T. jako człowiek majętny odegrywa jedną z najwybitniejszych ról, bo daje nakład na *Przegląd Polski* i *Czas*, organa tej koteryi, pisuje w tych pismach i nadto miewa uniwersyteckie i publiczne odczyty, rozszerzając zasady przez tę koteryę wyznawane. Jakie to są te zasady Stańczyków, wskazuje sama ich nazwa, którą otrzymali z powodu *Teki Stańczyka*, drukowanej w „Przeglądzie polskim“ i szerzone ciągle w łamach „Czasu“ i „Przeglądu polskiego.“

Potrafimy szanować przekonanie i prowadzić poważną walkę, ale aby tak być mogło, nieodzownem jest, żeby przeciwnicy zasługiwali na szacunek, żeby ze swej strony również w sposób przyzwoity walkę prowadzili. Tymczasem, jak każdemu wiadomo, kto miał parę numerów *Czasu* lub *Tekę Stańczyka* w rękach, kto czytał uwieńczony przez Stańczyków *Dramat bez nazwy* i tysiące podobnych tym rzeczy, że ci panowie nie potrafili zachować miary w swoich sądach, w swoich wyrażeniach, w swoich poglądach. Powstanie 1863 r., w którem tysiące poniosło śmierć bohaterską, które było dziełem całego narodu, nazwano zbrodnią, powstańców rozbójnikami, emigracyę zgrają łotrów, myśl nowego kiedyś powstania podłością, zasady postępowe nikczemnością itp. itp.

Niech się panowie Stańczyki nie dziwią potem, jeżeli którego z nich spotka taka konfuzya jak pana Tarnowskiego we Lwowie. Smutne to było zajście, i daj Boże aby się nie powtórzyło, ale konieczne. Działy się na świecie nierównie smutniejsze rzeczy, lecz zawsze wina cięży na tych, którzy byli prowokatorami.

Trudno panowie, jeżeli ktoś jest uczciwym człowiekiem, kocha kraj, pracuje dla niego całe życie i gotów to życie w ofierze złożyć, a ktoś inny nazywa go za to nikczemnikiem, zbrodniarzem, łotrem, to nie zawsze się znajdzie zimna krew, aby to cierpliwie znosić. A tem bardziej, stokroć tem bardziej, jeżeli ktoś nie osobiście go, ale jego najświętszą sprawę obsypuje obelgami i jeżeli to czyni przez lata, ciągle.

Wypowiadajcie panowie swoje przekonania, ale z godnością i nie ubliżajcie nam, naszym przekonaniom, bo chociaż wy rozebraliście wielkie dobra ziemskie i zajmujecie wygodniejsze i wybitniejsze stanowiska, my wam nie zazdrościmy i chętnie na małym zagonie pozostaniemy, ale nie przestaniemy kochać ojczyzny i dla niej pracować, my tu na tej ziemi, chociaż ubożsi, ale jesteśmy od was starsi, bo my swój ród wyprowadzamy od Batorych i Bolesławów, a wasz datuje się od Targowicy tylko.

Wy przywiązujcie waszą wiarę do Aleksandra, Dagmary itp., my wierzymy w nasze stare odwieczne prawa i w naszę żywotność, w naszę pracę i nasze ofiary, ale tej skromnej naszej wiary wydrzeć sobie nie damy.

Autor broszury nie broni p. Tarnowskiego przeciwko innym zarzutom, tylko stara się wykazać, że oburzenie prasy lwowskiej za odczyty warszawskie było niesłuszne i podaje cały 4ty odczyt na dowód, że w nim dążności moskiewskich nie ma. Nie byliśmy na odczycie i nie wiemy, czy jest wiernie podany, a robimy tę uwagę dla tego, że autor podaje dalej głosy prasy warszawskiej o tym odczycie, w których są zarzuty nie dające się zastosować do tego odczytu. Tak naprzykład *Kuryer Codzienny* pisze: „gdy prelegent mówił potępiając... nielubianych przez siebie pisarzy, zaciętość i gniew jego robiony na zimno występował nieraz w objawach budzących tylko niesmak, a słowa jego wytworne i piękne spadały na nizinę, którąby można tolerować ledwie w pamflecie lub zaperzonej polemice dziennikarskiej, chociaż wątpimy, czy nawet w największem zacietrzewieniu używałaby ona tej menażeryi porównań, w których występowały małpy, żaby, konie, osły, a nareszcie zdychające bydlęta.“ *Goniec* pisze: „Można się z hr. Tarnowskim nie zgadzać kiedy chłoszcze hajdamactwo Goszczyńskiego, kiedy szykanuje pieśń o ziemi naszej, kiedy mu się zdaje, że Magnuszewski jest nędzotą.“ Otóż z tych zarzutów widzimy, że p. Tarnowski coś musiał mówić o Magnuszewskim, o Pieśni, o ziemi naszej, o hajdamactwie, o osobistościach nielubianych przez siebie tymczasem w podanym nam w broszurze „odczycie“ tego nie ma.

Autor broszury dziwi się, że w ogólności sąd pism warszawskich wypadł dla p. Tarnowskiego lepiej jak pism lwowskich; my to łatwo tłumaczymy. W Warszawie nie znano politycznych zasad p. Tarnowskiego i Teki Stańczyka i numerów *Czasu*, za które, jak autor powiada, płaci się tam kary po 1000 rubli, przyjmowano go jako profesora, akademika, posła, gościa, jako patryotę i sądzono nie tylko z pobłażaniem, ale w jego słowach dopatrywano ukrytych patryotycznych myśli, a rażące sądy przyjmowano jako wybryki hrabiowskich przekonań, które sądzono pobłażliwie. Inaczej musiało być we Lwowie, gdzie p. Tarnowski jest znany na wszystkie strony. Na pogorszenie sądu lwowskiego i to musiało wpłynąć, że p. Tarnowski wyprowadził Warszawian w pole, że otrzymał niezasłużone oklaski, że w cukrowym papierku podał truciznę (przepraszamy za wyrażenie, ale szerzyć swoje przekonania w sposób utajony tam, gdzie jawnie wypowiedziane byłyby gorzej przyjęte jak odczyt we Lwowie, trudno inaczej nazwać), na której się nie poznano na razie.

Z przyjemnością wzięliśmy broszurę do ręki sądząc, że p. Tarnowski chce się rehabilitować, że znając miękkie serca polskie, szczególniej dla hrabiów, chce przemówić do serca i szuka jakiegoś pojednania,

niestety! rozczarowaliśmy się zupełnie, bo autor broszury napisawszy tę niby obronę odczytu czwartego w Warszawie, zwraca się następnie do dziennikarstwa lwowskiego i zebrawszy ze śmietnika *Przeglądu polskiego* wszelkie plugastwa ciska tem w oczy redaktorom i redakcyom *Gazety Narodowej, Dziennika Polskiego* i *Ruchu literackiego.*

Zaznaczamy jeszcze raz, że przeciw p. Tarnowskiemu pisma lwowskie wystąpiły nie z powodu tego tylko, co on mówił w Warszawie, ale z powodu tego, co on robi ciągle, że występując przeciwko niemu, występowały przeciwko działaniom koteryi Stańczyków, przeciwko ich nie pohamowanej zaciekłości, przeciwko ich plugawemu sposobowi wojowania, czego i broszura, o której mowa, daje nowe pożałowania godne dowody.

Dziennikarstwo lwowskie, cokolwiekby się dało przeciw niemu powiedzieć, ma tę wielką zaletę, że jest patryotycznem i dla tego to publiczność polska ceniąc w niem tę wysoką cnotę, wiele mu uchybień pod innemi względami przebacza. *Czas* chociaż jest przez wielu uważany za pismo poważne i konsekwentne, (którego to zapatrywania wcale nie podzielamy), nie cieszy się najmniejszą popularnością dla tego, że nad interesa narodowe przenosi interesa koteryi i tej tylko służy wbrew dobru powszechnemu. Inaczej być nie może. Polacy tylokrotnie dali już dowody swej gorącej miłości ojczyzny, że wątpić o tem, przypuszczać, że pp. Tarnowscy, Szujscy, Walewscy, Raczyńscy swemi teoryami potrafią to uczucie w narodzie zabić, jest zaślepieniem nie do przebaczenia. Każdy ze wzgardą odrzuci ich pamflety, a pamflecistę spotykać będą takie chłosty, jakiej niedawno byliśmy świadkami we Lwowie, chociażby nim był nie jak pan Tarnowski, który żadnych zasług dla kraju nie położył, ale nawet człowiek z przeszłością, i nie smucić się, lecz cieszyć się z tego wypada, że zbrodnia znajduje potępienie.

Przeciwko *Tygodniowi* najmniej występuje autor z powodu zapewne, że *Tydzień* był najwstrzemięźliwszym w pisaniu o p. Tarnowskim. Musimy więc tu się wytłumaczyć, że postępowaniem Stańczyków jesteśmy nie mniej od innych oburzeni, tylko mniej rozrzutni w słowa tam, gdzie dyskusya w przyzwoitej formie prowadzoną być nie może. *A. D.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. listopada.

Początek ubiegłego tygodnia Lwów zapisać może do rubryki przeznaczonej na kronikę faktów *irytujących*. Głównym winowajcą był tu odwieczny antagonista Lwowa niejaki imci pan *Czas* krakowski, któremu pod formą kroniki podobało się, ale już trochę grubiej, ukłuć naszą zasługę słusznie osiągniętą powodzeniem ostatniej wystawy krajowej. Podług nas, za wiele zrobiono honoru nie już owej kronikarskiej ramocie, ginącej wśród stosu własnej frazeologii, ile samemu *Czasowi* zwracając na niego tyle uwagi, jakby jego opinia krakowska miała być pewną wyrocznią. Skończyło się na tem, że szanowny reprezentant Saturna, zniżył swoję kosę do nogi, a założywszy kilka par wołów do tej ciężkiej kolasy, we wtorkowym numerze stara się wydobyć z ciężkiego jesiennego błota. Na ten raz wygraliśmy sprawę — antagonista upokorzony!

Drugim powodem irytacyi, było dość nie zręczne wywrócenie koziołka przez posła do rady państwa dr. Juliana Czerkawskiego. Obsaczony na ostatniem zebraniu przez wyborców, którzy mu wyraźnie powiedzieli, że ich drogi i jego rozchodzą się do Sasa i do lasa, przycupnął deklarując złożyć mandat poselski. Tymczasem jak strach minął, podniósł uszy do góry, napisawszy znany list do *Gazety Lwowskiej.* Powiada w nim: nie mogę tego zrobić bez porady papy Koła poselskiego w Wiedniu, a nuż ten patryarcha rodzaju nijakiego pogłaska mię po twarzy i powie: „Juleczku, dziecię moje, nic się nie bój, bo ja sam w strachu, to się pokaże wyborcom figę parlamentarną, zatka uszy watą, i marsz z seksternem do szkoły. Mores przedewszystkiem!“

Trzeci element irytacyjny dostarczyła broszura niewiadomego obrońcy hr. profesora Stanisława Tarnowskiego przeciw jego jakoby dążnościom rossyjskim. Sama broszura nie zawiera nic nowego, mieści tylko historyczny opis wystąpień prelekcyjnych tego pana w Warszawie i we Lwowie ze wszystkiemi akcessoryami krytyk, jakie nad niemi spisano, ale co bawi, to wycieczka *Czasu* polecająca tę broszurę. Dalibóg już sobie nie możemy nic mieć do zarzucenia czytając w artykule tym tyle dobitnych wyrażeń, tyle dosadnych nazwisk dla wszetecznego dziennikarstwa lwowskiego, że doprawdy zacierać musimy ręce z radości, żeśmy potrafili rozruszać siwą czuprynę zastarzałego konserwatysty w Krakowie.

Drobna to rzecz i stara jak świat pełnia księżyca, a jednak i ta dokuczyła w zeszłym tygodniu naszemu miastu. Licząc na jego blade oblicze, czcigodny magistrat jak zwykle nie kazał zapalać latarni gazowych, tymczasem i temu staremu niedołędze przyszła ochota nałożyć na głupią twarz swoją woalkę z obłoków — i ciemność ogarnęła stary gród nad Pełtwią, przyprawiając o rozbicie kilka tysięcy wałęsających się po nocach nosów obywatelskich. Rozumiemy, że szanuje się i oszczędza ciężką pracę ludzką, ależ na oświecenie naszego grodu pracują przeważnie psy lwowskie, niosąc swój dochodowy podatek miastu, — moi panowie z ratusza, zmiłujcie się, czyż warto żałować psiego oświecenia dla nas i lekceważyć nasze nosy, które po takich uszkodzeniach gotowe stracić wszelki węch obywatelski — a tego też tylko życzą sobie nasi nieprzyjaciele!

W mniejszym już stopniu, a jednak trochę zirytował nas *przez swoję skromność* pomnik odkryty w tych dniach na cmentarzu Łyczakowskim dla śp. Jana Kamińskiego, znakomitego dyrektora sceny polskiej i autora wielu prac niespożytej wartości. Z mowy p. Dobrzańskiego, redaktora „Gazety Narodowej,“ w której szczegółowo skreślił żywot i działalność wskrzesiciela sceny narodowej we Lwowie, dowiedzieliśmy się i tego faktu, że pomnik, który właśnie poświęcano, owę skromność swoję zawdzięcza zawieruszeniu się dość znacznej kwoty zebranej ze składek publicznych przed dwudziestu laty przez redakcyę ówczesnego pisma politycznego wychodzącego pod nazwą „Dziennik Polski.“ Smutna ta sprawa nadużycia zaufania publicznego została przez szanownego mowcę należycie skarconą, ale pomnik za to ucierpiał. Obrzędu poświęcenia dopełnił wobec licznie zebranej publiczności ks. Niemczynowski, a prócz p. Dobrzańskiego zabierali głos: synowiec Jana Nepom. Kamińskiego dr. Kamiński ze Stanisławowa i dawny towarzysz zmarłego, prezes komitetu, który się zajmował ustawianiem pomnika, p. Witalis Smochowski. Na frontowej ścianie marmurowej kolumny umieszczono spiżowe popiersie Kamińskiego w formie wypukłej płaskorzeźby, wykonane z ryciny przez p. Tadeusza Wiśniowieckiego, a pod niem napis: „Janowi Nepomucenowi Kamińskiemu, znakomitemu dyrektorowi sceny polskiej, pisarzowi dramatycznemu, filozofowi i badaczowi języka ojczystego. Wdzięczni rodacy.“ Niżej z jednej strony data urodzenia 27. października 1777 r., z drugiej data śmierci 5go stycznia 1855 r. Na drugiej stronie płyty wypisano następujący dwuwiersz z „Krakowiaków i Górali“:

„Nie przestańcie wy uczeni siać ziarna mądrości.
Choć się teraz nie rozpleni, zejdzie w potomności.“

* * *

Na zakończenie sprawozdania z historyi tego tygodnia, wypada nam donieść bardzo pocieszającą nowinę. Wydział krajowy wypełniając polecenie Sejmu, który przeznaczył kwotę 10.000 złr. na zakładanie szkółek rzemieślniczych dla wspomagania przemysłu domowego, już pod przewodnictwem samego marszałka krajowego i przy współdziałaniu hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego utworzył komitet, zajmujący się tyle ważną dla kraju naszego sprawą. Do komitetu prócz miejscowych członków powołano i dwóch delegatów z Krakowa, p. Adryana Baranieckiego, twórcę bogatego muzeum technicznego w Krakowie i wice-prezydenta dr. Weigla. Po komitecie tym spodziewać się można bardzo dodatnich rezultatów dla biednego naszego ludu, który posiada wszelkie warunki wróżące mu lepszą przyszłość, skoro tylko będzie mógł zużytkować swą pracę i zdolności z daleko większą niż dotąd dla siebie korzyścią.

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *„Czas“ i jego polityka* ze stanowiska katolickiego i polskiego w odpowiedzi na list. p. Dra Szujskiego, 8ka, str. 27. Lwów 1877. 25 ct.

— *Dążności rosyjskie* prof. St. Tarnowskiego 8ka, str. 58 Lwów 1877 30 ct.

— *Giovagnoli Rafael.* Opinia. Sceny historyczne z VI wieku ery rzymskiej przełożył Piotr Zubrzycki. Tom I. 8ka, str. 100. Warszawa 1877 60ct.

— *Gniewosz Jan Nep. z Oleksowa.* Skarbczyk przemysłowy. I. O wartości niektórych odpadków w przemyśle w zastosowaniu do potrzeb krajowych, 8ka, str. 70. Lwów 1878. z porachowaniem za całość 1.50

— *Ochorowicz Dr. J.* O zjawiskach zdwojenia w życiu duchowem człowieka 8ka, str. 87. Lwów. 1877 90 ct.

— *Praktyczny kalendarzyk* na rok 1878 20 ct.

— *Wiadomości statystyczne* o stosunkach krajowych wydane przez krajowe bióro statystyczne pod redakcyą prof Dra T. Pilata. Rocznik III. zeszyt II. III, 8ka, str. 232 i tablice. Lwów 1878, część II. 80 ct. część III. 1.60 ct.

— *Young Zofia.* Sierota. Obrazek z potocznego życia, 8ka, str. 128. Warszawa 1877, 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Towarzysza pilnych dzieci* wyszedł z druku Nr. 31. i zawiera następującą treść: Do chłopczyka, wiersz Maryi z Rusiłowa. Wakacye Henrysia przez Helenę Darowską. Pszczoły Kłopoty Panicza, komedya w jednym akcie dla chłopczyków przez O. Bronę. Rozmaitości: Wzrok węża. Szarada.

Jestto jedyne pisemko dla dzieci w prowincyi naszej, a o ile wiemy nie cieszy się wielką popularnością. Zdawałoby się, że w każdym inteligentnym domu polskim, gdzie są dzieci, znajdowaćby się ono powinno tembardziej, że cena jest dla każdego przystępna (1 złr. kwartalnie) ale widocznie potrzeba dostarczania dzieciom przyjemnej a pożytecznej rozrywki nie jest jeszcze przez wszystkich uznawaną, mamy jednak nadzieję, że wytrwałość wydawcy i jego bezinteresowna praca potrafi powoli przełamać te lody. Czego serdecznie życzymy. Wydawcą i redaktorem jest znany poeta p. Władysław Bełza, który

obecnie poświęcił swe pióro prawie wyłącznie pracom dla młodzieży.

— Nakładem księgarni Karola Wilda wyszły walce na fortepian pod nazwą *Eins, zwei, drei*, skomponowane przez Bronisława Rakowieckiego. (cena 90 ct.)

— W Krakowie rozpoczęto wydawać nowe pismo pt. *Echo*, które we Lwowie dotąd tylko z tytułu jest znane. Sądzimy, że nie warto przybierać tych samych tytułów dla pism jakie już istnieją — n. p. wychodzi już pismo codzienne *Echo* w Warszawie — chwilowo nie przynosi to szkody, ale jeżeli Osman pasza potężną swą szablą przyczyni się do usunięcia kordonu między Galicyą i Kongresówką, okaże się dla obu tych pism niewygoda. Dziś nawet powinniśmy w każdej chwili mając obraz całej Polski w pamięci mieć także i obraz całego ruchu dziennikarskiego.

Już to trzeba przyznać, że węzeł łączący dziennikarstwo całego kraju jest nader słaby, można nawet powiedzieć, że wcale nie istnieje, bo nie wiemy czy jest ktokolwiek, coby potrafił wyliczyć wszystkie pisma polskie. Największy dyssonans sprawia zawsze zabór pruski, gdzie prowincyonalne sobkostwo, zasklepienie się w swoich stosunkach jest tak wielkie, że o innych prowincyach ani wiedzieć chcą. Na swoję obronę przytaczają argument, że muszą skupiać wszystkie siły dla obrony od inwazyi krzyżactwa, ale teorya ta jest myłną bo odosobnieni łatwiej mogą uledz, przeciwnie zaś w ścisłym sojuszu z resztą ziem polskich, czerpiąc żywotne soki z całego organizmu, nierównie skuteczniejszy opór postawićby potrafili.

— *Dziejów powszechnych Szlossera* wyszły z druku zeszyty 122 i 123.

— *Ognivo* poczęło na nowo wychodzić w Kołomyi.

— *Dwutygodnik polityczny*. Pod tym tytułem rozpoczął p. Tadeusz Romanowicz wydawnictwo nowego pisma politycznego. Nr. 1. wyszedł 1. listopada.

— *Strzecha*, czasopismo znane publiczności z dawniejszych roczników, zamierza p. Richter na nowo wskrzesić, i od nowego roku wydawać jako dwutygodnik.

† P. Wojciechowi Sowińskiemu, niepospolitemu kompozytorowi i wirtuozowi muzycznemu, autorowi Słownika Muzyków Polskich, stryjowi znanego poety Leonarda, od dawna zamieszkałemu w Paryżu, przytrafił się smutny wypadek. Ostatnia Illustration z dnia 13. października, tak o tem z żalem i uszanowaniem donosi: „Przed kilku dniami, p. Wojciech Sowiński, patryarcha pianistów, idąc nastąpił przez nieuwagę na porzuconą skórkę pomarańczy, pośliznął się, upadł i złamał sobie lewą rękę. Wypadek ten wszędzie wywołał bolesne wrażenie. P. Sowiński już dawno stoi w jednym z najpierwszych szeregów pomiędzy służebnikami sztuki. Kiedy był jeszcze młodzieńcem, to jest gdy nasza Francya goniła za pięknym snem przyszłości 1830 r., który obudził tyle dzielnych umysłów do pracy wszelkiego rodzaju, tyle niezrównanych artystów, p. Sowiński już wtedy był znakomitością. Dawał wówczas koncerta, w których sam jeden tylko występował — jeden człowiek i jeden fortepian Erarda, — a te koncerta budziły gorące uznanie Paryżan. Chwilowo nawet, że tak powiemy, skompletował był kwartet, jakiemu równego nierychło zobaczy Europa. Miał dosyć sił do walki z trzema Orfeuszami: Franciskiem Lisztem, Zygmuntem Thalbergiem i Chopin'em. Muzycy i publiczność po dziś dzień nie zapomnieli tych rycerskich popisów. Lecz z czterech władzców instrumentu, pan Sowiński sam jeden pozostał przy swoim fortepianie; inni zamknęli się w grobie lub w klasztorze. Aż oto skórka pomarańczy, rzucona na chodniku przez roztargnionego przechodnia, sprawiła, że i on może zamilknie z kolei.

— Sławny podróżnik, kapitan Burnaby, którego przed kilkoma laty tak niegrzecznie Moskale wyrugowali z Khiwy, wydał obecnie książkę p. t. „On Horseback through Asia Minor“ (na koniu przez Azyą Mniejszą.) Autor opisuje szczegółowo Armenią i miejscowości, w których się teraz bój toczy. Opowiada, z jak wielkim zapałem ludność gotowała się do odparcia najezdników. Powołani do szeregów szli z radością i ci tylko płakali, których zostawiono w domu. Gdy zarzucał paszom okrucieństwa spełniane w Bułgaryi, odpowiadano mu: To nie Turcy dokonywali ich, ale Czerkiesi, przesiedleni z pod rządu moskiewskiego, od którego nauczyli się wszelkich zbrodni. Nigdzie nie widział ucisku nad chrześcianami. Owszem, Muzułmanie żyją w najlepszej zgodzie z nimi. Powieści o ucisku — mówi on — ustają w miarę, jak się kto oddala od granic moskiewskich. Oddając sprawiedliwość przymiotom Moskali, stawia Burnaby daleko wyżej charakter i rządy Turków. Ma także jeden rozdział o uciemiężeniu Polski i o męczeniu unitów podlaskich.

Wypadki.

— O strasznej burzy, która w zaprzeszłą niedzielę srożyła się na Atlantyku i w czasie której tratwa z obeliskiem „Igła Kleopatry“ musiała być przez parowiec Olga pozostawioną na pastwę fal, podają dzienniki londyńskie mnóstwo szczegółów bardzo smutnych. Burza głównie szalała w pobliżu wybrzeży angielskich. Towarzyszył jej deszcz nadzwyczaj ulewny. W samym Londynie i okolicy tego miasta burza wzrosła do potęgi huraganu, który zrządził niezmierne spustoszenia. Osoby, które w czasie tego z obowiązku swego musiały przebywać na ulicach, jak policyanci, dorożkarze i t. p. musiały trzymać się słupów i poręczy, ażeby nie były uniesione w powietrze. Wicher na Tamizie wiele statków porwał z kotwic i poobalał, obalał kominy, mury i rusztowania, oraz uszkodził wiele dachów i drzew. Połączenie telegraficzne Londynu z północnemi i zachodniemi hrabstwami zostało przerwane. Od spadających kominów, dachów i drzew kilka osób poniosło śmierć lub ciężkie skaleczenia. Na morzu były podobno jeszcze większe spustoszenia. Wzdłuż wybrzeży porozbijało się mnóstwo statków, a w wielu wypadkach i osada ich padła ofiarą katastrofy. Z pełnego morza powoli dopiero dochodzą wiadomości o stratach poniesionych podczas straszliwej tej burzy przez żeglarzy. Dotąd wiadomo już, że zatonęło kilka okrętów niemieckich, duńskich i holenderskich. Dzienniki angielskie zgadzają się w tem, że burza z dnia 14 bm. była najsroższą w tym roku.

— Obelisk egipski zwany „Igłą Kleopatry“, zabrany przez Anglików z Aleksandryi i na osobno w tym celu zbudowanej tratwie cylindrowej, niby w pokrowcu, wieziony przez parowiec Olga do Anglii, już był szczęśliwie przebył cieśninę Gibraltarską i wody Portugalii, kiedy w zeszłą niedzielę, Olga zaskoczona strasznliwą burzą, która srożyła się na całym Atlantyku, musiała cylinder z obeliskiem pozostawić na los szczęścia; już bowiem z załogi jej utonęło 6 ludzi i całej osadzie zagrażała katastrofa. Nie wiadomo, czy pozbywszy się tym sposobem balastu, Olga uszła zguby, z Londynu wszakże donosi telegram, że tratwa cylindrowa z obeliskiem znaleziona została o 90 mil morskich na północ od Ferrol, na wodach zatoki Biskajskiej. Dość, że Neptun pomścił się za stare bogi egipskie, nieustannie przez Europejczyków obierane z pamiątek.

Wojna.

— Co kosztują dzisiejsze narzędzia wojny, wskazuje przykład następujący: Poseł japoński w Petersburgu wice-admirał Enamoto, zwiedzał temi dniami Kronsztad, gdzie mu między innemi pokazywano najnowszego pomysłu angielskiego podstawę do dział dwunasto calowych. Olbrzymie działo porusza się na tym przyrządzie za pomocą machiny hidraulicznej; poruszenie odbywa się w ciągu 13 sekund, a mają nadzieję, że można będzie nadawać ruch działu nawet w 5 sekund. Owoż taka podstawa jednego działa kosztuje 17.000 funtów szterlingów, czyli podług ostatniego kursu około 176,000 rubli. Największe działo stalowe w Kronstadzie świeżo wykonane w zakładzie Kruppa, jest kalibru 14-calowego; waży 3.500 pudów, prochu na nabój potrzebuje $8^1/_4$ pudów; pocisk jego waży 31 pudów; o 500 sążni odległości przebija pancerz żelazny gruby na 15 do 20 cali. Cena tego działa wynosi 125,000 marek niemieckich, co przy ostatnim kursie berlińskim uczyni 72.000 rubli. Są jednak potwory jeszcze większe. Tak zwane „niemowlę“ woolwickie ma kaliber $14^1/_2$ calowy, waży 5.040 pudów, pocisk ma wagi 35 p., a koszt jednego wystrzału wynosi 550 fr. Działo stalowe włoskie w Spezyi ma kaliber $17^1/_2$ calowy, waży 6,114 pudów, pocisk ma wagi 55 pudów, prochu zużywa około 10 pud. Są to rzeczy prawdziwie przerażające nietylko dla wojskowych wystawionych na skutki takich narzędzi zniszczenia, lecz i dla ekonomistów, obliczających wpływ tych narzędzi na gospodarstwo narodów. W wojnach dzisiejszych walka w sferze ekonomicznej jest niemal tak samo zgubna, jak w sferze czysto orężnej.

Wystawa paryska.

— Journ. Offic. ogłasza sprawozdanie ministra handlu, p. Caillaux, złożone prezydentowi rzeczypospolitej, według którego minister ze względu, iż dawny system kołowrotów (tourniquets) u wejść na plac wystawy okazał się niedogodnym i niedającym rękojmi ścisłości, zaleca zniesienie tego urządzenia i wprowadzenia natomiast sprzedaży biletów wstępu na wystawę w r. 1878 po dystrybucyach tytoniu oraz biurach telegraficznych, pocztowych i kolejowych, jak niemniej po agencyach dzienników i w kioskach ustawionych w pobliżu wejść na wystawę. Cenę wstępu oznacza minister na 1 franka, a zniżenie tejże zastrzega sobie dopiero na wypadek, gdyby suma dochodu ze wstępnego dosięgła pewnej znaczniejszej cyfry, ażeby skarb państwowy od straty zabezpieczyć. Wydawane będą jednak dla wygody publiczności karty abonamentowe na cały czas wystawy po 100 franków, wszelako z wymienieniem nazwiska osoby, która także fotografią swą będzie musiała załączyć do biletu.

Statystyka.

— W Algeryi francuskiej dokonano właśnie spisu ludności. Kolonia ta liczy obecnie 197,341 Francuzów, 33.476 naturalizowanych Żydów, 159,161 Europejczyków różnej narodowości i 2,478.977 muzułmanów, ogółem głów 2,868,975. Od roku 1872 liczba mieszkańców Algeryi zwiększyła się o 452,750 głów.

Wiadomości ekonomiczne.

— Chów drobiu we Francyi. W świeżo ogłoszonym wykazie statystycznym znajdują się w tym przedmiocie następujące daty: Francya chowa corocznie około 40 milionów kur, które przedstawiają wartość blisko 100 milionów franków. Sama Francya konsumuje część piątą tego. Z 40 milionów kur ma Francya rocznie około 100 milionów kurcząt, z których zaledwie część piąta pozostaje do chowu, reszta idzie pod nóż. Kurczęta przedstawiają wartość około 125 milionów franków. Nadto kapłony i pulardy przedstawiają 6 milionów franków, a jaja, w ilości około 4 miliardów, 240 milionów franków. Kura płaci się we Francyi po półtrzecia franka, kurcze półtora franka a jajo 6 centimów.

Koleje żelazne.

— Kolej węgiersko-galicyjska stanie się za dni kilka najkrótszą linią, łączącą Bukowinę i Galicyą z południem i granicą włoską. Temi dniami otwartą zostanie kolej łącznikowa Budapeszteńska, a uzupełniona tym sposobem linia między Tryestem, Rieką i Cormons a Stanisławowem Czerniowcami i Suczawą krótszą jest o 147 kilometrów od linii transportowej via Wiedeń. Taż sama komunikacyjna linia między Przemyślem, Lwowem, Tarnopolem, Brodami i Podwołoczyskami a Tryestem i stacyą graniczno-włoską Cormons będzie o 85 kilometrów krótszą niż na Wiedeń. Dla turystów skrócenie to nie ma wagi, dopóki bowiem na tej linii węgiersko-galicyjskiej nie będą kursowały pociągi pospieszne z bezpośrednim połączeniem, czas podróży będzie zawsze bardzo znacznie dłuższy — ale dla ruchu handlowego, dla transportu produktów skrócenie stanowić będzie ważną korzyść i jeżeli jeszcze i taryfy wypadną dobrze, to nowa ta linia komunikacyjna między północą i wschodem a południem stanie się wielce ważną arteryą obrotu, a kolej węgiersko-galicyjska konkurować będzie mogła zwycięzko z kolejami Karola Ludwika, północną i południową w transportach idących z Rosyi i Rumunii ku południowym krajom Europy i na odwrót.

Gołębie pocztowe.

— Gołębie pocztowe zaczynają być używane obecnie na morzu. Dziennik angielski *Fishing Gazette* donosi, że tego lata niektórzy z pomiędzy angielskich rybaków spróbowali zawiązać stosunki w czasie łowów z lądem przy pomocy gołębi pocztowych. Rezultaty były bardzo zadawalniające. Po południu puszczono z okrętu gołębia, który pokołowawszy przez jakiś czas nad statkiem, puszczał się jak strzała w kierunku właściwym. Na szyi pożytecznego ptaka przywiązano zwykle kartkę z wiadomością o rezultatach połowu, stanie pogody, czasie powrotu i td. Niekiedy nawet tą drogą żądano przysłania statku parowego, nabojów, żywności lub tym podobnych rzeczy — i prawie nigdy nie zdarzyło się, żeby gołąb nie przeniósł do właściwego miejsca powierzonej mu kartki.

ROZMAITOŚCI.

Tragiczny wypadek rozegrał się przed kilkoma dniami w mieszkaniu państwa X. Warszawie.

Siedziano wieczorem przy herbacie, gospodyni zaś domu trzymała na ręku jednoroczną dziecinę. Wtem, lampa wisząca u sufitu, potrącona przez kogoś przypadkowo, spada, tłucze się, nafta oblewa dziecko i zapala się.

Była chwila, w której przytomność odbiegła wszystkich Odzyskał ją jednak naprzód ojciec i leżącym obok szalem wełnianym zdołał przygasić ogień.

Dziecię ocalało, lecz na jego ciele, rączkach i twarzy pozostały ślady oparzenia.

Ten jak i inne tak częste z naftą przytrafiające się wypadki powinne być przestrogą, iż największa ostrożność nie może być nigdy zbyteczną.

Olbrzymi proces Tichborna w Londynie przypomina sobie zapewne nasi czytelnicy. Chodziło o awanturnika, który mienił się być synem lady Tichborne i reklamował dla siebie ogromną fortunę. Sądy nie uznały pretensyj wrzekomego Tichborna, a ponieważ strona przeciwna postarała się o dowody, że pretendent nazywa się właściwie Artur Orton i jest synem rzeźnika z Wapping, więc fałszywego Tichborna skazano jako oszusta i samozwańca. Proces ten, który ciągnął się niezmiernie długo, zajmował w wysokim stopniu publiczność, a claimant tj. ów samozwańczy Tichborne miał za sobą całe stronnictwo, które nie opuściło go i po skazaniu. Jeden z najgorliwszych protektorów samozwańca zarządził ze składek publicznych formalne śledztwo, aby wykazać, że zarzut, jakoby jego klient był Ortonem, synem rzeźnika, jest fałszywy. W tym celu rozpoczęto poszukiwanie po całej kuli ziemskiej za owym Ortonem, aby dowieść, że nie jest osobą identyczną z Tichbornem. Jak donosi Daili Telegraph udało się istotnie odkryć prawdziwego Ortona w Paramatta w Australii. Tym sposobem obalony został zarzut, jakoby wrzekomy Tichborne był Ortonem, synem rzeźnika z Wapping, a cały proces będzie się musiał rozpocząć na nowo.

Małoletnia zbrodniarka. Takiem mianem przezwaćby można proces 11-to letniej dziewczyny, obwinionej o rabunek i zamiar zabójstwa, sądzony na ostatniem posiedzeniu sądu okręgowego kaliskiego. Szczegółów tego procesu dotąd nie znamy, poda je jednak zapewne organ miejscowy.

Niektóre dzienniki angielskie donoszą o złym stanie zdrowia księcia Ludwika Napoleona, który, jak znów niektórzy dowodzą, ma przebywać obecnie incognito w Paryżu. Cesarzewicz cierpi od dawna na nogę, stan zaś jego miał się pogorszyć w skutek wypadku na jakimś urządzonym dlań przez oficerów angielskich festynie, w którym podczas illuminacyi i sztucznych ogni książę wpadł w płomień i zaledwie ztamtąd został wyratowany.

W południowej Ameryce pojawiła się choroba na bydło rogate, zagrażająca w przyszłości niemałemi stratami. Ukazała się ona naprzód w stanie Pensylwanii. Powodem jej jest robak mający niejakie podobieństwo do naszego tak zwanego „tracza", który jak kleszcz wpija się w ciało bydlęcia, zarażając mu krew tak szybko, że zwierzę zdycha w przeciągu kilku godzin.

Władza miejscowa stara się wszelkimi sposobami, aby robak ten nie dostał się do Europy; byłby to już drugi wróg-owad zagrażający staremu światu.

Z Tatr otrzymujemy następującą wiadomość. Dnia 30 września strażnik tatrzański Andrzej Wala, gospodarz z Zakopanego, na drodze wiodącej do Morskiego Oka pod Opaloną, ubił niedźwiedzicę olbrzymiej wielkości, do 200 kilogramów wagi. Strażnik uzbrojony w pojedynkę nabitą lekkim śrutem dla obrony przed kłusownikami niszczącymi kozice, ani się spodziewał, że z takim gościem zmierzyć mu się przyjdzie. Widząc zwierza pasącego się na bruśnicach nieopodal drogi, dał śmiało ognia i jednym strzałem powalił go na ziemię. Zanim olbrzym powstał, aby się rzucić na swego napastnika, ten nie tracąc przytomności, nabił drugi raz, wypalił do postępującego ku niemu z wielkim rykiem zwierza i dogodził mu tak, że drugi raz upadłszy, już więcej nie powstał. Z tryumfem Wala zdobycz swoję przyniósł do Zakopanego, zkąd zapewne niedźwiedzica odesłaną będzie właścicielowi lasów zakopańskich Eichbornowi z Berlina.

Wspaniałomyślność psa. Dziennik Metz. Ztg. opowiada następujący wypadek, który się niedawno miał zdarzyć w pobliżu Sierck, w Alzacyi: młody człowiek pewien chciał utopić pudla, który już niedomagać zaczął ze starości. Wszedł więc z nim do łodzi i odbił od brzegu. Kiedy łódź wypłynęła na środek rzeki, okrutny ów człowiek wrzucił do wody psa, któremu kamień uwiązał do szyi. Biedne zwierzę wnet znikło pod wodą, ponieważ jednak urwał się sznur, na którym uwiązany był kamień, wyszło po chwili znowu na powierzchnię i czyniło rozpaczliwe usiłowania, ażeby dostać się znowu do łodzi. Ilekroć jednak pies zbliżył się do niej, nieludzki pan jego odtrącał go wiosłem. Walka ta nierówna trwała już kwadrans, kiedy ów okrutnik zniecierpliwiony pochwycił wiosło w obie ręce i wymierzył niem z całej siły cios ku głowie zwierzęcia, przyczem jednak stracił równowagę i wpadł do wody. Teraz zmieniła się scena Widziano, jak biedny pies zanurzył się pod wodę, pochwycił swego pana i wśród największych wysileń przy płynął z nim do brzegu. Niewdzięczny człowiek winien był psu ocalenie życia, nie umiejąc bowiem pływać byłby z pewnością utonął.

W Pradze wydarzył się przed kilkoma dniami następujący wypadek: pewien izraelita, staruszek, utrzymujący się z zapomogi jakiejś dobroczynnej instytucyi, która go za to obowiązywała do zachowania wszelkich przepisów talmudycznych — został przed zarządem tejże instytucyi oskarżony o straszną zbrodnię.. a to o zjedzenie... pary kiełbasek z chrzanem. Rozumie się, iż chciano biedakowi cofnąć natychmiast zapomogę za dotknięcie się trefnego mięsa, co u żydów ma równe prawie znaczenie, jak u nas złamanie postu, lecz oskarżony zdołał się usprawiedliwić i dowieść, że oskarżyciel jego przez zawiść taką plotkę stworzył, widziawszy go raz jedynie w sklepie rzeźnika, do którego miał polecenie. Całą tą sprawę oddano do sądu i za potwarz rzuconą na biednego żyda o zjedzenie pary kiełbasek — dostał się oszczerca na trzy dni do kozy!

Nowe rosyjskie bilety kredytowe. Gazeta Birżewyja Wiedomosti pisze o tym przedmiocie co następuje: Pojawienie się fałszych kredytowych biletów, spowodowało przed rokiem, że w komisyi przygotowującej papiery państwowe, robiono szereg doświadczeń. Doświadczenia te miały na celu wygotowanie wzorów do papierów kredytowych po 25, 50 i 100 rs. Początkowo zamierzono wszystkie papiery robić koloru białego i wzmocnić znaki wodne — portret miał być nie drukowanym, jak to ma miejsce na obecnych papierach kredytowych, ale wodny — teraz jednak zarzucono ten zamiar. Bilety będą różnokolorowe, z tą tylko różnicą od obecnie istniejących, że papier będzie robiony już kolorowy a nie tak jak obecnie malowany później. Portret będzie z wodnych znaków. Papier ma być cieńszy, ale za to mocniejszy.

Kto lubi romantykę podróży, znajdzie ją dziś także na kolejach amerykańskich. Pociągi padają tam ofiarą opryszków tak samo, jak niegdyś dyliżanse na apenińskich gościńcach. W Nebrasce, przy stacyi Springs, rabusie splądrowali dnia 18 września pociąg pasażerski. W tym celu opanowali stacyą, dali sygnał czerwony, który zniewolił maszynistę do wstrzymania nadchodzącego pociągu, powiązali konduktorów, zabrali pocztę, obejmującą około 70,000 dolarów, odebrali podróżnym gotówkę, zegarki i inne kosztowności, zgasili węgle w lokomotywie, wsiedli na konie i pożegnawszy się grzecznie, zniknęli bez śladu. Dyrekcya kolei wyznaczyła premią 10.000 dolarów za wytropienie tych zuchwałych bandytów.

Jedyny środek przedłużenia życia. Ktoś, rozmawiając z Auberem, utyskiwał na to, że się już starzeje.

— Przyjacielu, — odrzekł na to sławny kompozytor, — starzeć się, jest to środek jedyny, z wynalezionych do tej chwili, aby długo żyć.

Tragedya. Dzienniki peszteńskie opowiadają: Niedawno temu w miejscowości Gyula znaleziono zwłoki nowo narodzonego dziecka, widocznie zamordowanego przez okrutną matkę. Organa porządku publicznego otrzymały najsurowszy rozkaz, ażeby koniecznie starały się wyśledzić wyrodną matkę; rzucili się też policyanci na zwiady z całą gorliwością, a zwłaszcza jeden z nich, J. P., po nocach prawie nie spał, tropiąc ślad zbrodniarki. Po kilku dniach w istocie wyśledził ją — ale w osobie swej własnej córki, którą nieszczęśliwy, zalewając się łzami, sam przystawił związaną do sądu!

Gazety węgierskie z powodu ostatnich manewrów w Koszycach opowiadają następujący ciekawy fakt, jaki wydarzył się tam przed kilku laty w czasie odwiedzenia miasta przez cesarza Franciszka Józefa. Municypium koszyckie, chcąc uczcić cesarza, ustroiło miasto flagami i zarządziło iluminacyą, za którą rachunek przedstawiony burmistrzowi, wynosił 5 tysięcy guldenów. Burmistrz przez nieuwagę rachunek ten włożył między prośby, które podał cesarzowi. Nazajutrz cesarz przysłał burmistrzowi 5.000 guldenów z prośbą, ażeby na przyszłość nie urządzał tak kosztownego przyjęcia.

W Genewie przed kilku dniami skończył swe posiedzenie kongres lekarski. Brało w nim udział przeszło trzystu lekarzy, między nimi kilku Polaków. W czasie obrad miało miejsce zabawne zdarzenie. Pan Bacceli, profesor wszechnicy rzymskiej, a zarazem deputowany do parlamentu włoskiego, odczytał po łacinie rozprawę o nowym sposobie leczenia niektórych anewryzmów aorty. Po odczytaniu miała nastąpić dyskusya. Aż tu powstaje pewien znakomity lekarz francuski i z całą powagą uczonego odzywa się: „Wszystko to może być bardzo piękne i bardzo ważne; chętnie i ja wziąłbym udział w dyskusyi, ale na nieszczęście nic nie rozumiałem, bo mi obcy jest zupełnie język włoski..." Naiwne to oświadczenie, tłumaczące się zresztą tem, że Francuzi czytają po łacinie jak po francusku, a Włosi znów po włosku, przyjęto homerycznym śmiechem.

Świetna dyagnoza. Wiele zmysłu spostrzegawczego dowiódł pewien lekarz wiedeński. Do ordynującego wszedł porządnie ubrany, wychudzony mężczyzna i opowiadał swoje cierpienia.

— Cóż panu dolega? — zapytał doktor, robiąc poważną minę.

— Ach, rozmaite czuję boleści, w krzyżach, w łydce, kłuje mię na wszystkie boki.

Następuje badanie, macanie pulsu, opukiwanie itd.

— Panu jednej tylko brakuje rzeczy, ruchu zdałoby się więcej, — mówi doktor.

— Na Boga, ależ to być musi pomyłka.

— Nie, nie panie, nie mylę się. Panu trzeba koniecznie ruchu więcej. Czemże się pan zajmujesz właściwie?

— Ja jestem, — wyjąknął pacyent, — listonoszem; a lekarz od tej chwili postradał zupełnie wiarę w swój talent do dyagnozy.

PP. autorów, którzy życzą, aby ich prace rychłą oceną w „Tygodniu" znalazły, prosimy o nadsyłanie egzemplarzy do redakcyi.

Treść Nr. 10.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego). **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**